

Spółeczeństwo Rok 2025 nie był zły. Czego obawiają się Polacy w 2026?

Historia Piekło na ziemi. Zachować pamięć ofiar obozu w Będzinie- Łagiszy

Górnoślązacy w Niemczech, czyli rzecz o hajmatsztabach

NrISSN2353-6195
Nrindeksu350-079

magazyn

DZIENNIK ZACHODNI

LAT

Piątek 9.01.2026 | Nr 6 (24 458) | Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT) | www.dziennikzachodni.pl



Wybraliśmy Śląskie Słowo Roku

A przy okazji: mamy propozycję,
kto powinien zapytać prezydenta
Karola Nawrockiego o język
śląski. Okazja nadarzy się
w sobotę | **CZYTAJ STR. 2**



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

„DZIENNIK ZACHODNI”
● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...PONIEDZIAŁEK
● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizyWTOREK
● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinieŚRODA
● STRONA ZDROWIA
Jak zadbać o siebie i bliskichCZWARTEK
● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalnePIĄTEK
● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 32 555 02 05, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata.dziennikzachodni.pl

KALENDARIUM

1855

Odsłonięto pomnik Kazimierza Pułaskiego w Savannah (USA), blisko miejsca, gdzie odniósł śmiertelne rany w 1779 r. w czasie wojny o niepodległość USA.

1997

W Jerozolimie odbyło się praprawienie kompozycji „Siedem bram Jerozolimy” K. Pendereckiego z okazji 3-tysięcznej rocznicy założenia miasta.

1942

W czasie sztormu u wybrzeży Minorki zatonął francuski statek Lamoricière. Zginęło 301 osób z 394 na pokładzie, m.in. polski kryptolog Jerzy Różycki.

2024

Zmarł Tadeusz Isakowicz-Zaleski, polski Ormianin, duchowny katolicki obrządków ormiańskiego i facińskiego, działacz opozycji antykomunistycznej. JJ

9 STYCZNIA 2026

Dzisiaj 9. dzień roku.
Do końca roku 356 dni.

Dzień będzie trwał 8 godz. 2 min., jest krótszy od najdłuższego o 8 godz. 45 min. i dłuższy od najkrótszego o 20 min. Do końca astronomicznej zimy zostało 69 dni

Dzisiaj imieniny obchodzą:
Adrian, Adrianna, Agata, Alicja, Antoni, Borzymir, Bracław, Finan, Julian, Marcelina, Marcjanna, Piotr, PrzemirPrzysłowie na dziś:
Gdy styczeń jasny i biały,
w lecie bywają upały.

DYŻURNY DZ

facebook.pl/dziennikzachodni
i.stajer@dz.com.pl

Dzisiaj od godz. 9 do 15 jestem reporterem dyżurnym. Postaram się odpowiadać na wszystkie interesujące Państwa kwestie.

Ireneusz Stajer
513 585 782

Pogoda w regionie

Dziś		Sobota	
			
Dzień	Noc	Dzień	Noc
-5°C	-9°C	-5°C	-6°C
Niedziela		Poniedziałek	
			
Dzień	Noc	Dzień	Noc
-5°C	-9°C	-6°C	-8°C
Barometr 1005 hPa			
Wiatr płd.-wsch. 4 km/h			
Biomet niekorzystny			

A więc prawdziwa zima. We wtorek w nocy temperatura spadnie do -15 st. C

KTO POWINIEN PYTAĆ PREZYDENTA
NAWROCKIEGO O JEZYK ŚLĄSKI? ŚLĄSCY KIBICE.
AHA, WYBRALIŚMY ŚLĄSKIE SŁOWO ROKU!

Marcin Zasada



Gratulacje, panie prezydencie Karolu Nawrocki. To dzięki panu wybraliśmy Śląskie Słowo Roku 2025. Redakcja wspólnie z Czytelnikami „Dziennika Zachodniego” zdecydowała, że Śląskim Słowem Roku 2025 jest „fedrować”. Jeszcze nigdy prezydent Polski nie używał tak chętnie wyrazu rodem z języka śląskiego, to również dzięki panu „fedrować” zrobiło ogólnopolską karierę.

Dziękuję też wszystkim, którzy przyłączyli się do tej zabawy, bo skoro mamy różne młodzieżowe słowa roku czy polityczne słowa roku i są to dowody, że polszczyzna jest żywa, ciekawa i inspirująca, to czegoś podobnego, w mniejszym wycinku, może dowodzić plebiscyt na Śląskie Słowo Roku.

Już na początku wyjaśniam też coś, co było już wyjaśniane: nie chodziło nam o słowa, które w godce lubimy najbardziej (łonańczyć - wiadomo). Chodziło o słowa, które w ubiegłym roku były obecne, popularne, ważne. O słowa, które po czasie będą nam się kojarzyć z czymś ważnym, z jakimś zjawiskiem, któremu towarzyszyły.

„Fedrować” to był jeden z oczywistych wyborów, bo przecież Karol Nawrocki, jako kandydat na prezydenta RP, wymieniał je bodaj w każdej kampanijnej debacie. „Fedrować i wydobywać” - mówił z charakterystyczną pewnością w głosie. Owszem, wyjaśnialiśmy wtedy życzliwie, że fajnie, ale „fedrować” i „wydobywać” to tak, jakby mówić: „prowadzić autobus i kierować autobusem”. I w sumie poprawniej byłoby „fedrować, czyli wydobywać”, ale nie bądźmy już tacy małostkowi.

Prezydent Nawrocki zapowiadał, że będziemy na Śląsku „fedrować” (i wydobywać), co w sumie jest u nas politycznym kanonem od jakichś 150 lat. Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, co to znaczy z perspektywy głowy państwa, ale szybko okazało się, że znaczy tyle samo, co zawsze. Z końcem roku prezydent podpisał ustawę górniczą, która bardziej cywilizuje ostateczne zamknięcie górnictwa, niż otwiera na nowo fronty wydobywcze. Gdyby nie podpisał, i tak nie fedrowalibyśmy bardziej i głębiej, ale... Zostawmy politykę.

W wynikach plebiscytu na Śląskie Słowo Roku 2025 mamy jeszcze dwa miejsca na podium i uznajmy, że futbol raz dwa nikogo tutaj nie zdziwi. Miejsce drugie: „majster”. Bo Górnik Zabrze na czele Ekstraklasy, bo obudzone po latach marzenia o kolejnym mistrzostwie. Kto pamięta, kiedy ostatnio mówiło się (nie tylko w Zabrzu), że Górnik gra o majstra? No właśnie. I miejsce trzecie: sztama. Poświęciliśmy temu słowu osobną historię. Bo Górnik Zabrze i GKS Katowice. Bo kiedyś Ruch Chorzów i GKS Katowice, a nawet... Górnik Zabrze i Ruch Chorzów. Sztama, czyli kibicowskie przyjaźnie, które bywają długie, a na Śląsku raczej chwilowe i powtarzanie, że lepszy byłby ten świat, gdyby np. fani Górnika i Ruchu przynajmniej traktowali się jak ludzie (28 majstrów w sumie), to wciąż naiwne marzenie.

A propos naiwnych marzeń i kibiców. Na koniec wracamy do polityki i prezydenta Nawrockiego. Niebawem dostanie on na swoje biurko kolejną ustawę dającą śląskiemu status języka regionalnego. Teoretycznie nie ma co się łudzić, bo Nawrocki nie po to wetował język wilamowski (decyzja bardziej kuriozalna niż veto Andrzeja Dudy w sprawie śląskiego), żeby teraz podpisać ustawę Ślązakom. Ale mam propozycję sztamy dla najliczniejszych na Śląsku społeczności kibiców Ruchu i Górnika. Obie chętnie posługują się godką, sięgają do lokalnych tradycji, a gdy taki Lukas Podolski mówi: „jadymy durś”, nie tylko Ślązacy wiedzą, co ma na myśli.

Dwa lata temu sam podpisywałem list do prezydenta Dudy z apelem o poparcie ustawy o języku śląskim. Bez większych złudzeń podpisałem i teraz. Ale może tym razem powinna to być akcja śląskich kibiców. Bez złośliwości wobec stadionowej przeszłości prezydenta. Apel, delegacja, petycja - wszystko mi jedno. Wątpię, żeby Karol Nawrocki posłuchał śląskich regionalistów, językoznawców, którzy kibicują godce, albo śląskich polityków. Dlaczego nie mogliby spróbować kibice? GKS-u Katowice, Piasta Gliwice, Polonii Bytom czy GKS-u Tychy? Są tu jacyś fani bytomskich Szombierków?

„Sztama” to mogłoby być Śląskie Słowo Roku 2026. Albo „szrajbnąć”. W sobotę pielgrzymka kibiców na Jasną Górę, z Nawrockim. Zapytacie? ©P

DZIENNIK ZACHODNI
www.dziennikzachodni.plRedaktor naczelny Marcin Zasada,
Prezes Makroregionu Aneta Sarga-Burtan,
Marketing Paweł Biernacki,
Biuro reklamy oddziału tel. 502499257Redakcja ul. Baczyńskiego 25a, 41-203 Sosnowiec
tel. 32 634 21 00
redakcja@dz.com.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia,
41-203 Sosnowiec Miłowice, ul. Baczyńskiego 25aPOLSKA PRESS GRUPA
Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10Prezes Zarządu Polska Press Grupy Zenon Nowak
Redaktor naczelny Polska Press Grupy Marek Twaróg
Dyrektor artystyczny Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

JĘZYK ŚLĄSKI DZIŚ GŁOSOWANIE NAD PROJEKTEM USTAWY: NAJPIERW NAD WNIOSEM O JEGO ODRZUCENIE

Politycy prawicy znów przeciw godce

Patryk Osadnik
p.osadnik@dz.com.pl

Sejmowa debata nad projektem ustawy o języku śląskim odbyła się przy niemal pustej sali. Przedstawiciel PiS Wojciech Zubowski złożył wniosek o odrzucenie projektu ustawy.

Drugie czytanie projektu ustawy uznającej język śląski za język regionalny przeprowadzono wczoraj podczas noworocznego posiedzenia Sejmu.

Wpisanie języka śląskiego do ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz języku regionalnym kolejny raz poparli przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, Polskiego Stronnictwa Ludowego, Polski 2050 i Razem. Przeciwnie opowiedzieli się politycy Prawa i Sprawiedliwości, Konfederacji oraz Konfederacji Korony Polskiej.

Głosowanie nad projektem ustawy - w pierwszej kolejności nad wnioskiem o jego odrzucenie - prawdopodobnie odbędzie się dzisiaj. Sprawozdawczyni projektu ustawy Monika Rosa (KO) podkreśliła, że język śląski jest faktem. Zaznaczyła, że - wbrew częstym zarzutom - charakteryzuje się zaawansowanym stopniem kodyfikacji i posiada odmianę literacką.

- Jest wystarczająco odrębny od mowy mieszkańców pozo-

stałych regionów Polski i języka ogólnopolskiego. Co ważne, język śląski jest wspierany przez liczną grupę obywateli Rzeczypospolitej Polskiej - powiedziała Monika Rosa. Przypomniała, że w 2021 r. podczas spisu powszechnego używanie języka śląskiego w kontaktach domowych potwierdziło 467 tys. osób. Natomiast 596 tys. osób zadeklarowało narodowość śląską.

- Zagłosujmy za językiem śląskim, zagłosujmy za miłością do języka, za walką Ślązaczek i Ślązaków o uznanie ich kultury, tożsamości. Na końcu za tym, że Polska jest i będzie krajem, w którym różnimy się, ale wszyscy nawzajem szanujemy się - przekonywała Monika Rosa.

Łukasz Ściebiorowski ocenił, że sprawa języka śląskiego nie dotyczy tylko języka regionalnego, ale przede wszystkim szacunku do obywateli. Jego zdaniem wyrazem braku szacunku było zawetowanie poprzedniej ustawy o języku śląskim przez prezydenta Andrzeja Dudę.

- To weto było jasnym komunikatem - wasz głos się nie liczy. To był sygnał wysłany do milionów Ślązaczek i Ślązaków, że język ich domów, ich rodzin, ich historii, jest gorszy, mniej wart, niewystarczająco poważny. KO mówi dziś jasno - problemem nie jest ślonsko godka, problemem są środowiska polityczne, kierowane uprzedzeniami i strachem przed różnorodnością



- Zagłosujmy za językiem śląskim, zagłosujmy za miłością do języka, za walką Ślązaczek i Ślązaków o uznanie ich kultury, tożsamości - apelowała Monika Rosa

kraju - powiedział Łukasz Ściebiorowski.

Wojciech Zubowski z PiS podczas sejmowej debaty przywołał opinie językoznawców, według których język śląski nie istnieje. Nie wskazał jednak żadnych konkretnych językoznawców. Podczas prac komisji mniejszości narodowych i etnicznych politycy PiS odwoływali się do opinii Rady Języka Polskiego z 2011 r. - Klub parlamentarny PiS, kierując się odpowiedzialnością, nie może zaaprobować tych proponowanych rozwiązań, tego projektu, w związku z powyższym składam wniosek o odrzucenie projektu ustawy w całości - powiedział Wojciech Zubow-

ski. Według posła Konfederacji Korony Polskiej Romana Fritza uznanie języka śląskiego za język regionalny to krok w kierunku separatyzmu i odłączenia Górnego Śląska od Polski.

- Język śląski nie istnieje, nie możemy w Sejmie RP uznawać tej fikcji! - podkreślił Roman Fritz. Natomiast poseł PiS Grzegorz Lorek zaapelował do prezydenta Karola Nawrockiego o zawetowanie tej ustawy, która jego zdaniem „jest antypolska”.

Wątpliwości polityków przeciwnych projektowi ustawy wzbudziły koszty związane z uznaniem języka śląskiego za język regionalny. W tej kwestii rozbieżne są wyliczenia przed-

stawione przez biuro ekspertyz i oceny skutków regulacji kancelarii Sejmu oraz autorów projektu ustawy.

Biuro ekspertyz przyjęło, że języka śląskiego może uczyć się od 81,2 tys. do 128,2 tys. uczniów - proporcjonalnie do liczby uczniów zainteresowanych nauką języka kaszubskiego, odnosząc się do liczby osób, które zadeklarowały narodowość śląską lub używanie języka śląskiego w domu podczas Narodowego Spisu Powszechnego w 2021 r.

Na tej podstawie wyliczyło, że nauczanie języka śląskiego jako języka regionalnego może kosztować od 922 mln złotych do 1,5 mld złotych rocznie.

Autorzy projektu ustawy w ocenie jej skutków napisali, że „ciężko jest oszacować koszt kształcenia ze względu na niemożliwość wyliczenia dokładnej liczby uczniów zainteresowanych nauką języka śląskiego”.

Przyjęli, że koszt organizacji nauczania języka śląskiego dla 10 tys. uczniów może wynosić około 80 mln złotych. Natomiast kwota potrzeb oświatowych w przypadku języka kaszubskiego w przeliczeniu na 10 tys. uczniów w 2025 r. wyniosła 113,6 mln złotych. Biuro ekspertyz zauważyło, że „koszty nauczania języka śląskiego mogą być znacznie wyższe”.

To druga próba uznania języka śląskiego za język regionalny w obecnej kadencji parlamentu. W 2024 r. ustawa została uchwalona przez parlament i zawetowana przez prezydenta Andrzeja Dudę.

Przed wyborami prezydenckimi w 2025 r. projekt poparł kandydat KO Rafał Trzaskowski. Po słowie KO między pierwszą i drugą turą ponownie złożyli projekt. Przekonywali, że zostanie on błyskawicznie przeprowadzony przez parlament, a ustawę jako jedną z pierwszych podpisze nowy prezydent. Wybory wygrał jednak popierany przez PiS Karol Nawrocki.

Ponadto ma już na swoim koncie weto do ustawy uznającej język wilamowski za język regionalny.

Więcej na dziennikzachodni.pl

Prezydent Karol Nawrocki weźmie udział w pielgrzymce kibiców

Piotr Ciastek
Częstochowa

W sobotę na Jasnej Górze odbędzie się XVIII Patriotyczna Pielgrzymka Kibiców. Przyjadą fani klubów z całej Polski, a wśród zaproszonych gości jest prezydent Karol Nawrocki.

Tegoroczna Ogólnopolska Patriotyczna Pielgrzymka Kibiców. Tegoroczne odbędzie się pod hasłem „Ciebie Boga Wysławiamy”. Do sanktuarium przyjadą kibice z całej Polski, reprezentujący różne kluby i środowiska sportowe.

Centralnym punktem pielgrzymki będzie uroczysta Msza święta w Kaplicy Cudownego Obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Eucharystia rozpocznie się o godz. 12.00 i będzie sprawowana pod przewodnictwem ks. Jarosława Wąsowicza. W trakcie nabożeństwa zaplano-



Prezydent Karol Nawrocki kolejny raz weźmie udział w pielgrzymce kibiców

wano poświęcenie barw klubowych, z którymi kibice przybędą na Jasną Górę.

Po części liturgicznej uczestnicy pielgrzymki będą mogli wziąć udział w wydarzeniach towarzyszących. O godz. 14.00 w Sali o. Kordeckiego zaplanowano emisję filmu Mariusza Piłisa „Bunt Stadionów”.

Gościem Pielgrzymki Kibiców jest Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Karol Nawrocki. Prezydent to wierny kibic Lechii Gdańsk i angielskiej Chelsea. O godz. 15.15 na Szczycie Jasnogórskim ma odbyć się spotkanie prezydenta z kibicami. Planowane jest wtedy jego wystąpienie.

Do udziału w wydarzeniu zaplanował w ostatnich dniach także Daniel Nawrocki, syn prezydenta.

„Przyjeżdżamy na Jasną Górę, wszyscy w swoich szalikach, modlimy się za Polskę, bo ta pielgrzymka pokazała, że są takie wartości, które nas wszystkich łączą. Nasza ojczyzna dla kibiców jest taką wartością” - mówił Daniel Nawrocki w nagraniu opublikowanym w mediach społecznościowych.

Karol Nawrocki nie po raz weźmie udział w pielgrzymce kibiców na Jasną Górę. Ostatni raz uczestniczył w tym wydarzeniu w ubiegłym roku, jeszcze jako kandydat na prezydenta. Tamta wizyta odbiła się szerokim echem w ogólnopolskich mediach i wywołała falę komentarzy.

W trakcie poprzedniej pielgrzymki, w obecności Karola Nawrockiego, część kibiców skandowała hasło „Raz sierpem, raz

młotem czerwoną hołotę”, a jego przemówienie było przez komentatorów oceniane jako mające charakter wiecu wyborczego. Po wydarzeniu jasnogórski klasztor musiał publicznie odnieść się do pojawiających się zarzutów.

Kilka dni po poprzedniej edycji pielgrzymki oświadczenie wydał przeor Jasnej Góry, o. Samuel Pacholski. Odnosił się w nim do emocji i wątpliwości, jakie pojawiły się wokół wydarzenia. - Z ogromnym zrozumieniem przyjmuję liczne słowa zaniepokojenia, które docierają na Jasną Górę - zapewniał przeor.

Jak przekonywał, jasnogórscy paulini nie ingerują w program wydarzeń organizowanych w murach klasztoru.

- Naszym priorytetem, jako gospodarzy tego miejsca, jest prosta zasada: Jasna Góra jest dla wszystkich. Każdy może tu przybyć i każdy jest mile widziany, o ile przybywa jako piel-

grzym i przyjmuje obowiązujące w sanktuarium zasady. Nie zamknijemy drzwi przed nikim, nawet jeżeli niektóre pielgrzymki wydają się kontrowersyjne.

Przeor wyraził jednocześnie nadzieję, że organizatorzy wydarzeń będą respektować regulamin obowiązujący na Jasnej Górze. - Zgadzam się jednak, że wznoszenie (przez pewną nie liczną grupę) hasła niezgodnych z postawą chrześcijańską nie powinno mieć miejsca w obrębie sanktuarium i proszę wszystkich pielgrzymów o większe wyciszenie oraz o jednoznaczność postawę: na Jasną Górę przychodzimy by się modlić i słuchać Słowa Bożego. Od wieków także - by modlić się na Ojczyznę - apelował przeor.

Odnosząc się do obecności polityków, przeor zaznaczył, że do sanktuarium przybywają przedstawiciele różnych opcji politycznych.

Czasowe zawieszenie barbórek, „czternastek”, obniżenie dodatków. Pomysł na ratowanie JSW

Arkadiusz Biernat
a.biernat@dz.com.pl

Czasowe zawieszenie wypłaty barbórki, „czternastki”, deputatu węglowego oraz zmniejszenie dodatków – to część planu naprawczego dotyczącego funduszu wynagrodzeń zarządu Jastrzębskiej Spółki Węglowej, jaki przedstawiono stronie społecznej. Oto szczegóły.

Jastrzębska Spółka Węglowa od dłuższego czasu notuje ogromne straty. Spółka boryka się z dekoniunkturą na rynku węgla, niskim wydobyciem będącym pokłosiem katastrof i podziemnych pożarów przy wysokich kosztach stałych (np. rosnący w ostatnich latach fundusz wynagrodzeń). Sytuacji nie poprawia niski kurs dolara oraz konkurencja tańszego surowca z Azji, przed czym nie chronią regulacje Unii Europejskiej. W 2024 roku przełożyło się to na straty w wysokości 7,3 mld zł (na taki wynik wpływ miało głównie ujęcie odpisu aktualizującego wartość niefinansowych aktywów trwałych w łącznej wysokości 6,4 mld zł).

Po trzech kwartałach 2025 roku strata wyniosła 2,9 mld zł netto (w tym odpis aktualizujący z kopalni Knurów-Szczygłowiec 648 mln zł).

Od kilku miesięcy zarząd JSW wdraża Plan Strategicznej Transformacji, który ma na celu poprawę kondycji finansowej spółki. Dokument zakłada realizację zadań w czterech kluczowych blokach: poprawa efektywności wydobycia, optymalizacja procesów zakupowych, racjonalizacja wydatków inwestycyjnych i optymalizacja funkcji wsparcia. Wszystkie działania w tych obszarach zgodnie z Planem Strategicznej Transformacji mają do końca roku 2027 przynieść spółce szacowane 8,5 mld zł pozytywnych skutków finansowych.

Jak wielokrotnie podkreślał zarząd JSW, konieczna jest również głęboka restrukturyzacja kosztów funkcjonowania spółki. W tym redukcja zatrudnienia (dobrowolne odejścia na mocy ustawy górniczej), a także obniżenie funduszu płac, który od 2021 roku wzrósł z 4,6 mld do 7,4 mld zł. W tej ostatniej kwestii od kilku miesięcy trwają rozmowy ze związkami zawodowymi.



Najbliższe tygodnie, a może nawet dni będą kluczowe dla przyszłości Jastrzębskiej Spółki Węglowej

Oto plan zarządu JSW na redukcję funduszu wynagrodzeń

Do tej pory było wiadomo, że propozycje zakładają ograniczenie niektórych dodatków pensji pracowników JSW. Nie było jasne, których, w jakim zakresie i na jaki okres. Kierownictwo spółki dementowało, że chodzi nawet o 40 procent pensji.

W środę (7 stycznia) wszystko odkryły reprezentatywne związki zawodowe JSW, które na platformie społecznościowej Facebook opublikowały treść projektu porozumienia. Z niego dowiadujemy się, co zakłada plan naprawczy w zakresie redukcji kosztów wynagrodzeń. Oto propozycje zarządu:

- Czternasta pensja: całkowite zawieszenie wypłaty w latach 2025, 2026, 2027;
- Nagroda barbórkowa: w 2026 roku wypłata maksymalnie 30 procent (jak w 2025 roku), a w latach 2027-2028 zawieszenie wypłaty;
- Deputat węglowy: zawieszenie w całości w latach 2026-2028;
- Premie i dodatki BHP: zawieszenie wypłaty w latach 2026-2028;
- Bilety z Karty Górnika: zawieszenie w latach 2026-2028;

- Chorobowe i urlopy: likwidacja korzystniejszych zasad w latach 2026-2028 (powrót do minimum wynikającego z Kodeksu pracy);
- Praca w niedziele, święta i dni wolne: brak dodatkowych rekompensat za dni „Z”, niedziele i święta – tylko stawka $\times 1,5$ w latach 2026-2028;
- Posiłki profilaktyczne: zmiana sposobu liczenia wartości $\times 1,5$ w latach 2026-2028;
- Zawieszenie gwarancji zmienności warunków pracy, czyli zapisów Porozumienia z 31 marca 2021 r. w okresie od 1 stycznia 2026 r. do 31 grudnia 2028 r.

– Załoga Jastrzębskiej Spółki Węglowej ma prawo do pełnej i rzetelnej informacji, a nie tylko do ogólnych komunikatów i apeli o „odpowiedzialność”. Dlatego udostępniamy zdjęcia projektu porozumienia zawierającego, aby każdy pracownik mógł sam zobaczyć, co dokładnie ma zostać odebrane załozie i na jak długo – poinformowały związki zawodowe.

Reprezentatywne związki, w tym Solidarność, konsekwentnie powtarzają, że nie zgadzają się na cięcia w wynagrodzeniach

Swoje stanowisko związki mają przedstawić w najbliższym czasie.

Górnicy gigant może utracić płynność finansową

W preambule projektu porozumienia czytamy o „bardzo trudnej sytuacji ekonomicznej JSW” oraz „ryzyku utraty płynności finansowej”. W dalszych punktach można przeczytać, że okres ograniczenia wypłaty świadczeń może zostać skrócony w przypadku poprawy sytuacji finansowej spółki. Pracodawca nie zobowiązał się, ale również nie wykluczył wypłaty zawieszonych dodatków, ale bez odsetek.

Przypomnijmy – kilka dni temu zarząd JSW opublikował list otwarty do związków zawodowych.

„Z całą mocą ponownie zwracamy się do Państwa z apelem o otwartość na wypracowanie kompromisu i aprobatę rozwiązań zawartych w Planie restrukturyzacji, ponieważ sytuacja Spółki wymaga dziś nie-

zwłocznych decyzji, a nie dalszego odsuwania w czasie kluczowych rozstrzygnięć” – zaapelowano.

W liście przypomniano, że „skala wyzwań, z którymi mierzy się obecnie JSW, jest bezprecedensowa, a margines czasu na działania każdego dnia się kurczy”. „Strona rządowa zadeklarowała gotowość udzielenia wsparcia i wskazała rozwiązania, które mogą wzmocnić stabilność Spółki. Uruchomienie tej pomocy jest jednak uzależnione od współdziałania partnerów społecznych i przyjęcia uzgodnień, które pozwolą wprowadzić Plan restrukturyzacji w życie” – czytamy.

„W warunkach głębokiej dekonunktury w hutnictwie, dla którego Jastrzębska Spółka Węglowa jest dostawcą kluczowych surowców, postawa strony społecznej ma dziś decydujące znaczenie dla powodzenia Planu restrukturyzacji. Obecne otoczenie rynkowe w praktyce odbiera Spółce możliwość samodzielnego udźwignięcia kosztów i ryzyk bez zmian oraz bez zewnętrznego wsparcia. Dlatego apelujemy o podjęcie oparte na odpowiedzialności i gotowości do kompromisu – takiego, który pozwoli ochronić fundam-

enty działalności JSW i zapewnić jej przyszłość” – dodano w liście otwartym zarządu spółki.

Reprezentatywne związki, w tym największy – Solidarność – po każdym spotkaniu z zarządem konsekwentnie powtarzają w komunikatach, że nie zgadzają się na cięcia w wynagrodzeniach pracowników. Z naszych nieoficjalnych informacji wynika, że najtrudniej o porozumienie jest z „S”, która już na początku października deklarowała, że nie porozumie się z zarządem.

Kopalniom czas ucieka, a sytuacja jest coraz trudniejsza

Władze JSW podkreślały, że porozumienie dotyczące funduszu płac powinno zostać zawarte z końcem 2025 roku. Do tego nie doszło, stąd list otwarty do związków.

„Deklarujemy gotowość do kontynuowania rozmów niezwłocznie, w każdym terminie, który Państwo wskażą. Jednocześnie musimy jasno powiedzieć: dialog musi uwzględniać warunki prawne oraz ekonomiczne, w jakich działa JSW, a także ograniczenia wynikające z sytuacji rynkowej i finansowej. Tylko niezwłoczne wypracowanie kompromisu może uchronić JSW przed scenariuszem, którego skutki byłyby nieodwracalne zarówno dla pracowników, jak i całego regionu” – czytamy w liście otwartym zarządu JSW.

Już wcześniej sygnalizowano, że brak podjęcia szeregu działań, w tym czasowego ograniczenia wynagrodzeń, może się skończyć utratą płynności finansowej już w marcu 2026 roku, a na koniec br. przynieść negatywny wpływ gotówkowy – według szacunków – na około 3,6 mld zł.

Czy zatem możliwe jest wdrażanie działań restrukturyzacyjnych bez porozumienia ze związkami?

– Spółka znajduje się w niezwykle trudnej sytuacji, więc jestem przygotowany również i na taki wariant. Dla mnie najważniejsza jest spółka i pewność miejsc pracy w dłuższym horyzoncie – powiedział pełniący obowiązki prezesa Jastrzębskiej Spółki Węglowej Bogusław Oleksy w rozmowie z portalem wnp.pl.

Najbliższe tygodnie, a może nawet dni będą kluczowe dla przyszłości sytuacji JSW.

FOT. MARZENA BUGAŁA-ASTASZOW

Związki w JSW mówią „nie” i chcą spotkania z ministrem

Arkadiusz Biernat
a.biernat@dz.com.pl

Reprezentatywne związki zawodowe odrzuciły zaproponowany przez zarząd Jastrzębskiej Spółki Węglowej projekt porozumienia dotyczącego obniżenia funduszu wynagrodzeń w obecnym kształcie. Domagają się rozmów z ministrem aktywów państwowych. Czas ucieka, a JSW grozi utrata płynności finansowej.

Strona społeczna poinformowała o swoim stanowisku 8 stycznia po południu.

„W odpowiedzi na projekt Porozumienia Reprezentatywne Organizacje Związkowe działające w JSW S.A. niniejszym odmawiamy jego podpisania i kategorycznie odrzucają próbę obarczenia pracowników kosztami niekompetencji organów zarządczych i nadzorczych Spółki” – przekazano w piśmie podpisanym przez przewodniczących Solidarności, „Kadry” i Federacji Związków Zawodowych Górników.

Związkowcy podkreślili, że obecna dramatyczna sytuacja JSW „nie jest skutkiem wyłącz-

nie otoczenia rynkowego, lecz bezpośrednim efektem błędów w zarządzaniu”, o czym miały alarmować Skarb Państwa wielokrotnie w latach 2024-2025.

Nie ma zgody na zawieszenie barbórki, „czternastki” i innych dodatków

Odmowę podpisania porozumienia uzasadniono brakiem legitymacji do żądania poświęceń od załogi w obliczu bierności właściciela (Skarbu Państwa).

„Z ogromnym oburzeniem przyjmujemy fakt, że Ministerstwo Aktywów Państwowych, reprezentujące Właściciela, oczekuje dziś od górników sfinansowania ratunku Spółki z własnych pensji” – podkreślają związki zawodowe.

Strona społeczna przypominała, że od dwóch lat informowała o:

- braku działań zarządczych, o braku nadzoru ze strony Rady Nadzorczej JSW;
- stałym trendzie umarzania certyfikatów z FIZ;
- stratach generowanych na działalności operacyjnej;
- braku wzrostu produkcji i bardzo wysokim MCC (gotówkowym koszcie wydobywania jednej tony węgla), który przy obecnych cenach nie pozwala na osiąganie zysków;
- zatrudnianiu zbędnych firm doradczych, na które wydano dziesiątki milionów.

Związkowcy zwracają uwagę, że w ostatnich dwóch latach

zarząd JSW wykorzystał kilka miliardów złotych odłożone w funduszu na tzw. czarną godzinę.

„Zarząd co prawda nie miał wpływu na ceny rynkowe, ale to pracownicy JSW wydobywali węgiel, który sprzedawany do klientów Spółki dawał firmie realne przychody. Apelowaliśmy o to, by właściciel 55% akcji podjął działania zmierzające do poprawy konkurencyjności Spółki i dostosowania do warunków rynkowych. O to, by w zarządzie znalazły się osoby kompetentne. Na spotkaniach Komitetów Sterujących przez 2 lata poruszaliśmy tematy związane z możliwością pozyskania finansowania długoterminowego, widząc, że w danej perspektywie czasu zasoby gotówki w Spółce się wyczerpią” – wskazują związki zawodowe.

Ich zdaniem brak skutecznej reakcji Ministerstwa Aktywów Państwowych i Rady Nadzorczej na ostrzeżenia przekłada się na odpowiedzialność za kryzys. Natomiast zawieszenie świadczeń załogi z tego powodu określono „działaniem niemoralnym i nieakceptowalnym społecznie”.

Związki: Dokument skrajnie niekorzystny dla pracowników

Strona społeczna uważa za szantaż sytuację, w której przedstawia się, że brak zgody na cięcia płacowe oznacza upadek spółki. Jak dodają, „narracja, że jedynym ratunkiem jest

pożyczka z Funduszu Reprywatyzacji (PFR) warunkowana zubożeniem pracowników jest nieprawdziwa”.

„Stoimy na stanowisku, że uzależnianie pomocy publicznej od zgody Związków Zawodowych nie ma oparcia w Rozporządzeniu Ministra Finansów, Funduszy i Polityki Regionalnej z dnia 4 stycznia 2021 r. w sprawie szczegółowego sposobu postępowania w zakresie wypłaty odszkodowań oraz udzielania dotacji celowych i pożyczek ze środków Funduszu Reprywatyzacji (t.j. Dz.U. z 2024 r., poz. 1623). Jest to wyłącznie decyzja polityczna, mająca na celu wymuszenie na nas legitymacji Państwa błędów. Nie przyłożymy ręki do dokumentu, który w obecnym kształcie jest dla pracowników skrajnie niekorzystny. Żądamy zaprzestania wywierania presji na załogę poprzez sugerowanie, że brak zgody na cięcia automatycznie blokuje finansowanie. Jest to decyzja korporacyjna Zarządu i Ministra, a nie wymóg ustawowy” – podkreślają związkowcy.

Strona społeczna apeluje do ministra aktywów państwowych

Strona związkowa zarzuca obecnemu zarządowi brak transparentności i odpowiedniej dynamiki rozmów. Zwraca uwagę, że obniżka płac pracowników spółki może spowodować paradoksalną sytuację, że osoba decydująca się na skorzystanie z pakietu osłonowego w postaci wcześniejszej emerytury (na podstawie ustawy górniczej) otrzyma więcej pieniędzy niż osoba pracująca pod ziemią.

„Nie wiemy, czy właściciel większościowy JSW zna przedstawiony nam plan, stąd wnioskujemy o pilne spotkanie z kierownictwem Ministerstwa Aktywów Państwowych w celu prowadzenia konstruktywnych rozmów dotyczących przyszłości Jastrzębskiej Spółki Węglowej oraz całego mikroregionu Śląska związanego z JSW” – oświadczyły związki zawodowe.

Związkowcy stawiają sprawę jasno – do czasu rozmów z kierownictwem resortu aktywów państwowych temat zawieszenia jakichkolwiek świadczeń pracowniczych uważają za zamkniętą.

Koniec odsiadki dla Ryszarda Boguckiego, zabójcy „Pershinga”

Piotr Ciastek, Paweł Pawlik
Pod paragrafem

Bohater kryminalnych historii lat 90. odsiadywał wyrok 25 lat za zabójstwo szefa gangu pruszkowskiego. Wczoraj miał wyjść na wolność, pod zmienionym nazwiskiem.

W latach 90. to nazwisko znali wszyscy. Ryszard Bogucki należał do grona najbogatszych Polaków, był ulubieńcem prasy.

Urodził się w 1969 roku w Rybniku. Skończył technikum, ze studiów zrezygnował. Wszedł w biznes jako osiemnastolatek. Zaczynał od zwykłych sklepów. Później była elektronika, kantory, hotele w Cieszynie i Szczecinie. Prowadził salon samochodów luksusowych w Chorzowie. Sam jeździł po Katowicach swoim czarnym Ferrari Testarossa. Sponsorował konkurs Miss Polonia.

Wkrótce jego kariera biznesowa zaczęła przeplatać się z problemami z prawem. W 1999 roku w Zakopanem miał zastrzelić Andrzeja Kolikowskiego, pseudonim „Pershing”, szefa gangu pruszkowskiego. Doszło do tego w biały dzień na oczach kilkunastu świadków. Później Bogucki uciekł z kraju. Był poszukiwany przez dwie specjalne grupy śledczych z Warszawy i Katowic. W 2001 roku został zatrzymany w Meksyku.

W 2003 roku Ryszard Bogucki został skazany za zabójstwo „Pershinga”. Sąd wymierzył mu karę 25 lat więzienia. Zarzucano mu także próbę nakłaniania do zabójstwa byłego szefa policji, generała Marka Papały w 1998 roku, który zginął od strzału w głowę na parkingu przed swoim blokiem w Warszawie. W 2013 roku Sąd Okręgowy w Warszawie uniewinnił Boguckiego w sprawie Papały.

Decyzją sądu w 2022 roku miał wcześniej wyjść na wolność. Postanowienie zostało jednak wstrzymane m.in. po zaż-

leniu prokuratury. Ostatecznie Bogucki zakładał kamień w Herbach niedaleko Częstochowy miał opuścić 8 stycznia, pod zmienionym nazwiskiem.

Jednym z najważniejszych wątków po wyjściu Boguckiego na wolność pozostaje wieloletnia batalia o odszkodowanie za niesłuszne aresztowanie w związku ze sprawą zabójstwa generała Marka Papały oraz postępowanie dotyczące spółki Auto Beker. Oba te wątki są obecnie rozpoznawane w jednym postępowaniu, które zostało przeniesione z Sądu Okręgowego w Katowicach do sądu w Krakowie. Mecenas Paweł Matyja, pełnomocnik Boguckiego oczekuje, że wyrok zapadnie jeszcze w tym roku.

– Pytanie brzmi nie czy, tylko ile należy zapłacić Ryszardowi Boguckiemu – mówił mecenas Paweł Matyja w rozmowie z RMF FM. Dodał, że w zakładach karnych wobec jego klienta stosowano praktyki, które sąd określił jako „z pogranicza tortur”. Chodziło o tzw. kontrolę zachowania osadzonego.

– Jeśli ona jest realizowana co piętnaście minut, a tak było, to jest w istocie deprivacją snu, bo jeśli stosuje się to przez całą dobę, co piętnaście minut oczekuje się od osadzonego, że da znak życia, to oznacza to w praktyce, że Ryszard Bogucki był pozbawiony snu – podkreślił adwokat na antenie RMF-u.

Wysokość roszczeń adwokat szacuje obecnie na około 30 mln zł, choć zaznacza, że kwota ta może się jeszcze zmienić. Równolegle Bogucki zabiega o odzyskanie udziałów w spółce Unitra, której wartość biegli ocenili na 1,8 mld zł. Jako większościowy udziałowiec miał utracić kontrolę nad majątkiem, który przez lata był rozprasany, sprzedawany lub niszczone. Paweł Matyja, pełnomocnik Boguckiego, jest także prezesem fundacji Dowód Niewinności, która działała m.in. w sprawie uniewinnienia Tomasza Komendy.



Strona społeczna kategorycznie nie zgadza się na cięcia płacowe dla pracowników



W latach 90. Ryszard Bogucki należał do grona najbogatszych Polaków

ROZMOWA TRAGICZNY POŻAR W SZWAJCARII TO ALARM: CZY W NASZYCH LOKALACH JEST BEZPIECZNIE?

Zróbmy wszystko, by zdażyć przed tragedią

Arkadiusz Biernat
a.biernat@dz.com.pl

Niestety, ryzyko takiej tragedii jak w Szwajcarii występuje również u nas i jestem w stanie sobie to wyobrazić - mówi DZ Kamil Kwosek, rzeczoznawca do spraw zabezpieczeń przeciwpożarowych.

W noc sylwestrową w pożarze szwajcarskiego baru zginęło łącznie 40 osób, a 121 zostało rannych. To raczej pytanie retoryczne: Czy taka tragedia mogłaby się wydarzyć na Śląsku lub w innym regionie Polski?

Niestety, takie ryzyko występuje i jestem w stanie sobie to wyobrazić. Rozmiar tragedii w Szwajcarii ma kilka powodów. Jednym z nich są łatwo zapalne materiały wykorzystane w wykończeniu. W Polsce już na etapie projektu, a później wykonania prac nie można stosować pewnych materiałów. Jednak, kiedy lokal jest już odebrany przez straż pożarną, powiatowego inspektora budowlanego, to pojawiają się pokusy zmian, które wpływają na bezpieczeństwo: „Tu powiesimy zasłonkę, tam papierowe ozdoby z powodu święta, przesuńmyme gaśnicę i dostawimy kolejny stolik...”. I tak się dokłada i zmienia, często wbrew normom bezpieczeństwa. Ostatnio w jednej z restauracji na Śląsku zauważyłem, że choinka zasłaniała hydrant. Jej ustawienie zablokowało możliwość otwarcia szafki i jego użycia.

W Szwajcarii przeraża skala tragedii, ale także błędów. Można było tego uniknąć, albo przynajmniej zmniejszyć rozmiar dramatu?

Podstawowy błąd to wykorzystany materiał wykończeniowy w suficie. Okazał się bardzo niebezpieczny pod względem pożarowym. Tej pianki nie powinno tam być. Nie znam jej rodzaju, ale na filmach widziałem, jak paliła się, wytwarzając płonące krople. Jej płonące resztki kapły na podłogę, ale przede wszystkim na uczestników imprezy.

Wystarczyła iskra?

Na to wygląda. Jest dyskusja, czy źródłem pożaru były tzw. fontanny tortowe, czy tzw. zimne ognie. W obu przypadkach to iskry, które mogą wywołać pożar. Niech nikogo nie zmyli nazwa tzw. zimnych ognia. Jest bardzo myląca. Podkreślmy, że zimne ognie nie są w ogóle zimne. Temperatura iskiek może przekraczać na-



Kamil Kwosek

wet 1000 stopni Celsjusza. Ten rozżarzony drucik zaraz po wypaleniu może mieć 650 stopni. Przecież te iskry wypalają dziury w kurtkach, dywanach, czy mogą poparzyć palce. Zimne ognie punktowo, chwilowo są źródłem wysokiej temperatury i mogą zadziałać jak zapalnik. W Szwajcarii od iskiek zimnych ognia lub tzw. fontanny tortowej pianka zapaliła się natychmiastowo.

Czego zabrakło?

Sufit zajął się ogniem błyskawicznie. Oglądając dostępne filmy z wnętrza obiektu, jestem przerażony tym, co się działo. Po pierwsze, nie widać, by ktoś alarmował o pożarze i nawoływał do ewakuacji.

Po drugie, nikt nie podejmuje akcji gaśniczej?

Dokładnie. Choć musimy się tutaj na chwilę zatrzymać, bo trochę źle to ujęliśmy. Widać, jak ktoś macha swetrem przy ogniu. Może zobaczył kiedyś, że można nim przyduś płomień. Jednak nie na suficie.

Internauci wskazują, że trzeba było użyć wiader z wodą...

To kolejny przykład braku świadomości. Jak można wodą z wiadra gasić sufit? Spróbujmy sobie wyobrazić takie pięciolitrowe wiadro. Jak trafić do celu na suficie? Przecież większość tej wody nie

doleci do celu. Tak można gasić kosz na śmieci. Z drugiej strony, skąd nagle znaleźć wiadra, a jeszcze trzeba je napęścić. W takich sytuacjach czas bardzo szybko ucieka. Mamy XXI wiek, a więc w odpowiednio wyznaczonych miejscach powinny stać gaśnice gotowe do wykorzystania. Ze zdjęć wiemy, że gaśnice w lokalu były, ale nic nie wskazuje na to, że zostały użyte.

Trudno uwierzyć w to, ale kiedy rozwijał się pożar, to... uczestnicy zamiast uciekać, nagrywali wszystko telefonami.

Przerażające jest to, że zginęło wiele młodych osób. Najmłodsza ofiara miała 14 lat, a najstarsza 39. Połowa ofiar to nieletni. Zresztą jeśli mówimy o 17-, 18- czy 19-latkach, to jaka to różnica? Bardzo podobne doświadczenie życiowe. Nie widać odpowiedzialnej reakcji, a taniec, podskakiwanie i filmowanie. Czujność mogły uspić zmęczenie czy alkohol. Może niektórzy myśleli, że to element pokazu? Jednak trudno potraktować płonące elementy wyposażenia jako zaplanowany pokaz. Nie zadziałał instynkt samozachowawczy uczestników, a przede wszystkim nie widać reakcji obsługi.

Co powinien zrobić barman lub kelner?

Kiedy pojawił się ogień, należało rozpocząć ewakuację. Je-

śli obsługa nie zarządziła ucieczki, to powinni ją rozpocząć sami pozostali uczestnicy, nie czekając na żaden sygnał.

Może obsługa nie wiedziała, co robić?

Dziś nam wszystkim łatwo to się komentuje. Musimy pamiętać, jaka to musiała być stresująca sytuacja dla wszystkich. Może obsługa nie została należycie przeszkolona? Może to były młode osoby, jeszcze zatrudnione sezonowo, a może tylko na ten wieczór czy weekend? Jednak nie ulega wątpliwości, że reakcja powinna być lepsza i natychmiastowa.

Nie chcę być uznany za przesadnego pesymistę, ale wydaje mi się, że niezależnie od miejsca na świecie, kwestie bezpieczeństwa na ogół mogą być ostatnimi punktami przeszkolenia nowego pracownika dyskoteki czy lokalu gastronomicznego.

To pytanie do właścicieli o ich świadomość. To w ich obojętności, aby przeszkolić personel chociażby w minimalnym zakresie. By pracownik wiedział, gdzie znajduje się gaśnica, czy i gdzie jest hydrant, a jeżeli jest, to jak włączyć alarm pożarowy, jak przeprowadzić ewakuację i w jaki sposób zaalarmować służby. Niezależnie, czy obsługa stanowi doświadczeni pracowników, czy student dorabiający w noc sylwestrową, każdy powinien być przeszkolony i przynajmniej w teorii wiedzieć, jak się zachować.

Jak z tymi zasadami bezpieczeństwa i świadomością bywa w praktyce?

Różnie, żeby nie powiedzieć, że słabo. Kiedy byłem czynnym strażakiem, to w przypadku wykrycia nieprawidłowości najczęściej słyszałem: „Pan tu o jakichś gaśnicach, hydrantach i oznakowaniu... Ten obiekt stoi 30 lat i nigdy się nic nie paliło”.

I co pan odpowiadał?

Tym gorzej, bo prawdopodobieństwo niebezpiecznego zdarzenia rośnie.

Statystyki nie są optymistyczne...

Z dostępnych danych Państwowej Straży Pożarnej za 2024 rok wynika, że skontrolowano 584 dyskoteki i lokale gastronomiczne. W 272, czyli prawie ponad 40%, stwierdzono nieprawidłowości, w 44 obiektach stwierdzono tak zwany stan zagrożenia życia. I on był związany

z warunkami ewakuacji albo wystrojem wnętrz. W 15 przypadkach stwierdzono brak oświetlenia awaryjnego. Zapytał pan mnie na początku, czy taka tragedia jak w Szwajcarii może się zdarzyć w Polsce. Te statystyki same odpowiadają. Jednak musimy pamiętać, że możemy mieć teoretycznie idealny obiekt z idealną załogą po przeszkoleniu. Na końcu o wszystkim decyduje człowiek i przeważać może brak wyobraźni. W Rumi w 2024 r. o mało nie doszło do tragedii, gdy podczas koncertu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy odpalono fajerwerki w pomieszczeniu pełnym dorosłych i dzieci. Te, odbijając się od sufitu, kierowały się w stronę ludzi. Całe szczęście nie zapalił się sufit ani inne elementy wyposażenia pomieszczenia, nikt nie został ranny. Jak chcemy korzystać z fajerwerków, to najpierw przeczytajmy instrukcję i postępujmy zgodnie z nią. Zamknięty obiekt to na pewno nie jest miejsce do tego typu pokazów.

15 lat temu na Śląsku w noc sylwestrową też mogło dojść do tragedii...

Z 2010 na 2011 na poddasze restauracji w Zabrze ktoś prawdopodobnie z zewnątrz trafił fajerwerkami w poddasze. Straty były duże. Wówczas egzamin zdały drzwi przeciwpożarowe, które zatrzymały pożar na piętrze, od wewnątrz były całe zwęglone. Kiedy straż pożarna przyjechała na miejsce, uczestnicy zabawy nie wiedzieli, że nad nimi jest pożar. Byli ewakuowani z parkietu. To pokazało, jak ważne są drzwi przeciwpożarowe. Były zamknięte, czyli tak jak powinno być. Bo niestety często jest to lekceważone. Te drzwi bywają otwarte, na domiar złego podtrzymywane są przez gaśnice. Raz, że ogień przez otwarte drzwi może przedostać się do kolejnych pomieszczeń, a dwa, gaśnica nie znajduje się w miejscu, w którym ktoś zgodnie z oznaczeniem będzie jej szukał.

Na końcu to my sami powinniśmy wiedzieć, jak się zachować. Na co zwracać uwagę?

Jestem z zawodu strażakiem, więc mi to przychodzi naturalnie. Ale nie kosztuje to wiele czasu i uwagi, aby po wejściu do lokalu zerknąć, gdzie znajdują się wyjścia ewakuacyjne, gaśnica czy hydrant. To zajmie kilkadziesiąt sekund, może dwie minuty maksymalnie, a w razie zagrożenia będziemy wiedzieć,

gdzie uciekać. Z racji tego, że jestem strażakiem i kwestiami bezpieczeństwa zajmuję się zawodowo, to za każdym razem, jak przyjeżdżam do hotelu, to sprawdzam drogi ewakuacyjne i czy wyjścia są otwarte i nie zawsze są... W takich sytuacjach zwracamy uwagę personelowi. Robimy to we własnym interesie.

A co robić w sytuacji bezpośredniego zagrożenia pożarem?

Kiedy widzimy ogień, to nie czekamy na żaden sygnał, tylko od razu ostrzegamy innych, alarmujemy wszystkich dookoła i zaczynamy ewakuację. Wystarczy krzyknąć, że jest pożar i należy opuścić budynek. W pierwszej kolejności dbamy o własne bezpieczeństwo. Kiedy opuścimy zagrożony rejon i nic nam nie grozi, to wzywamy służby, a jeżeli czujemy się na siłach, pomagamy innym lub zaczynamy akcję gaśniczą, np. za pomocą dostępnej gaśnicy. Gaśnica to osobna sprawa, bo mało kto się nią posługuje, a przecież mijamy je codziennie w różnych obiektach - również w miejscu pracy. Może warto się zatrzymać, przeczytać instrukcję, obojętne się z nią, aby w razie zagrożenia, kiedy dochodzi presja i stres, być gotowym do działania. Dlatego tak ważne jest, aby do tego typu sytuacji kryzysowej, która nie musi, ale może się zdarzyć, wcześniej się przygotować. Również w kontekście naszych mieszkań i domów. Warto odwiedzić stworzony przeze mnie portal roweabc.pl, gdzie dzielę się swoją wiedzą na ten temat. Bądźmy mądrzy przed szkodą, a nie po niej i dbajmy o nasze bezpieczeństwo.

Kamil Kwosek

Magister inżynier pożarnictwa i absolwent Szkoły Głównej Służby Pożarniczej w Warszawie (obecnie Akademia Pożarnicza), członek Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Pożarnictwa. Jest rzeczoznawcą ds. zabezpieczeń przeciwpożarowych, założył i prowadzi platformę szkoleniową edupo.pl. Jest autorem akcji społecznej „Opracuj Rodzinny Plan Awaryjny – pożaroweABC.pl”. Prowadzi szkolenia z zakresu ppoż. od 2001 roku. W przeszłości był zastępcą, a później komendantem miejskim Państwowej Straży Pożarnej w Zabrze.

ZDROWIE LEKARZE Z GLIWIC ODBUDOWALI PIERŚ PACJENTKI BEZ UŻYCIA SZTUCZNYCH MATERIAŁÓW

Nowatorska operacja w Gliwicach. Zrobili to pierwszy raz w Polsce

Oprac. Marlena Polok-Kin
Gliwice

Pierwszy w Polsce zabieg endoskopowej mastektomii podskórnej z jednoczasową mikrochirurgiczną rekonstrukcją całej piersi tkankami własnymi 42-letniej pacjentki wykonali specjaliści z Narodowego Instytutu Onkologii w Gliwicach.

O pierwszym w Polsce i jednym z pierwszych na świecie zabiegów gliwicka placówka poinformowała z końcem ub. roku. Sam zabieg przeprowadzony został 9 grudnia przez lekarzy z II Oddziału Chirurgii Onkologicznej Narodowego Instytutu Onkologii w Gliwicach.

Zamiast sztucznego implantu wykorzystano własne tkanki pacjentki
- Zakwalifikowano do niego pacjentkę z potwierdzoną mutacją w genie BRCA1, u której kilka lat temu rozpoznano raka jednej piersi. Została wówczas poddana leczeniu skojarzonemu łączącemu operację chirurgiczną, chemioterapię, radioterapię i hormonoterapię. Drugą pierś chirurdzy wraz z pacjentką zdecydowali się te-

raz usunąć profilaktycznie ma-
łoinwazyjną metodą endosko-
pową - przekazuje ośrodek.

Dr n. med. Jakub Opyr-
chał, jeden z czterech chirur-
gów przeprowadzających za-
bieg, podkreśla, że jest to
pierwszy w Polsce i jeden
z pierwszych na świecie za-
bieg, w którym endoskopową
mastektomię podskórną po-
łączono z jednoczasową re-
konstrukcją całej piersi tzw.
metodą PAP Flap.

- Podczas rekonstrukcji się-
gnęliśmy po to, co najbardziej
naturalne - własne tkanki pa-
cjentki, dzięki czemu udało się
odbudować pierś bez użycia
sztucznych materiałów (im-
plantu). Tkanki pobraliśmy
z wewnętrznej powierzchni
uda, co pozwoliło nam nie tylko
odtworzyć pacjentce pierś, ale
również poprawić kształt jej
uda - wyjaśnia.

Planując zabieg chirurdzy
uwzględnili nie tylko budowę
pacjentki, ale także jej oczeki-
wania. Z tego powodu zdecy-
dowali się na zastosowanie
jednego z najnowszych i naj-
mniej inwazyjnych osiągnięć
w chirurgii piersi, czyli endo-
skopowej mastektomii pod-
skórnej.

- Przez niewielkie 3-cen-
tymetrowe nacięcie w bocznej



Zespół lekarzy z NIO w Gliwicach z sukcesem operował 42-letnią pacjentkę

części piersi usunęli gruczoł
piersiowy, zachowując w pełni
prawidłowe ukrwienie pozo-
stawionej skóry oraz kom-
pleksu brodawka-otoczka - wy-
jaśniają specjaliści.

Lek. Sebastian Mosiej pod-
kreśla, że zastosowanie tej me-
tody zmniejszyło ból w okresie
pooperacyjnym, a także istot-
nie wpłynęło na skrócenie
czasu rekonwalescencji. Po-

nadto pozwoliło lekarzom
na uzyskanie bardzo dobrego
efektu estetycznego.

- Po zabiegu pacjentce pozo-
stała jedynie 3-centymetrowa
blizna w obrębie piersi. Po kilku-
dniowym pobycie w szpitalu zo-
stała wypisana do domu w do-
brym stanie, ale nadal pozostaje
pod opieką gliwickich chirurgów
i zgłasza się na regularne kon-
trole - przekazują lekarze.

Nowoczesna chirurgia i praca zespołowa

Dr n. med. Ryszard Szum-
niak, kierownik II Oddziału Chi-
rurgii Onkologicznej, podkre-
śla, że nowatorski zabieg jest
efektem konsekwentnego roz-
woju jego zespołu od lat specja-
lizującego się w zabiegach mi-
kronaczyniowych.

- Ten zabieg pokazuje kieru-
nek, w jakim rozwija się nasz
oddział - nowoczesna chirur-
gia, praca zespołowa i realna
troska o jakość życia i bezpie-
czeństwo pacjentek. To ważny
krok, ale też zobowiązanie
do dalszego rozwoju takich pro-
cedur - mówi dr Ryszard Szum-
niak. - Łączenie nowocze-
snych, małoinwazyjnych tech-
nik resekcyjnych z zaawanso-
waną rekonstrukcją mikrona-
czyniową pozwala nam zaofe-
rować pacjentkom leczenie

na najwyższym światowym
poziomie - dodaje.

W zabiegu wzięły udział dwa
zespoły chirurgów: lek. Seba-
stian Mosiej i dr n. med. Ryszard
Szumniak oraz dr n. med. Jakub
Opyrchał i dr hab. n. med. Ma-
ciej Grajek. Poza chirurgami
w zabiegu uczestniczyli również:
lek. Joanna Barcik - anestezjo-
log, Monika Babilas i Wioleta
Chylińska - pielęgniarki
anestezjologiczne, Marta Augu-
styn i Dominika Dyga - pie-
lęgniarki instrumentariuszki i mgr
Ewa Zych - pielęgniarka

- Warto przypomnieć, że
kilka miesięcy temu zespół chi-
rurgów II Oddziału Chirurgii
Onkologicznej przeprowadził
pierwszą w Narodowym Insty-
tucie Onkologii w Gliwicach
podskórną amputację piersi
z jednoczasową rekonstrukcją
implantem z wykorzystaniem
techniki endoskopowej, dołą-
czając tym samym do nielicz-
nego grona polskich i europej-
skich placówek medycznych,
w których wykonywane są tak-
ie zabiegi. Zabieg ten był je-
dnym z trzech nagrodzonych
w listopadzie br. pierwszą na-
godą w konkursie „Zdrowa
Przyszłość - Inspiracje” w kate-
gorii „Innowacje w szpitalu -
medycyna” - podkreśla zespół
gliwickiej placówki.

Gigantyczny 12-kilogramowy guz usunięty w Zagłębiowskim Centrum Onkologii. „Nikt wcześniej się tego nie podjął”

Robert K. Lewandowski
Dąbrowa Górnicza

To jedna z najbardziej spektakularnych i wymagających operacji ostatnich lat w regionie. W Zagłębiowskim Centrum Onkologii lekarze usunęli olbrzymi guz jamy brzusznej o średnicy 46 centymetrów i wadze aż 12 kilogramów. Zabieg był ogromnym wyzwaniem medycznym - wcześniej pacjentowi odmówiono leczenia operacyjnego w innych ośrodkach.

W Zagłębiowskim Centrum On-
kologii przeprowadzono opera-
cję, która na trwałe zapisze się
w historii placówki. Zespół chi-
rurgów onkologicznych podjął
się usunięcia masywnej zmiany
nowotworowej zajmującej
znaczną część jamy brzusznej



Zagłębiowskie Centrum Onkologii w Dąbrowie Górniczej

pacjenta. Jak podkreślają specja-
liści, był to największy guz kie-
dykolwiek usunięty w tym szpi-
talu i jeden z największych ope-
rowanych w ostatnich latach
na Śląsku i w Zagłębiu.

Pacjent trafił do poradni chi-
rurgii onkologicznej po skiero-
waniu z innego ośrodka. Bada-
nia obrazowe nie pozostawiały
wątpliwości - zmiana była roz-
legła i zaawansowana. Ze
względu na bardzo wysokie ry-
zyko operacyjne w wielu pla-

cówkach choremu odmówiono
leczenia. W Zagłębiowskim Cen-
trum Onkologii zapadła jednak
decyzja o podjęciu próby.

Guz, który zdominował jamę brzuszną

- Guz wychodził z prze-
strzeni zaotrzewnowej, obejmo-
wał całą prawą flankę brzucha,
naciekał fragment jelita grubego
i schodził aż do miednicy mniej-
szej - relacjonuje dr Janusz
Sznaider, kierujący Oddziałem

Chirurgii Onkologicznej, lekarz
który prowadził zabieg.

Operacja trwała około czte-
rech godzin i wymagała pracy
kilkunastoosobowego zespołu.
Przy stole operacyjnym jedno-
cześnie pracowało trzech chirur-
gów, wspieranych przez
anestezjologów, pielęgniarki
oraz personel pomocniczy. Ze
względu na unikatowy charak-
ter zabiegu obserwowali go
także studenci medycyny.

Choroba, która rozwijała się latami

Historia pacjenta pokazuje,
jak podstępnie mogą rozwijać
się guzy zaotrzewnowe. Przez
kilkanaście lat obwód brzucha
mężczyzny stopniowo się po-
większał, jednak początkowo
nie towarzyszyły temu wyraźne
dolegliwości. Pacjent tłumaczył
zmiany otyłością. Z czasem po-
jawiały się jednak problemy z je-

dzeniem, bóle brzucha, objawy
reflusu, nudności oraz trudno-
ści z pochylaniem się - guz za-
czął realnie utrudniać codzienne
funkcjonowanie.

Podczas zabiegu, oprócz
usunięcia samej zmiany, konie-
czne było także wycięcie
fragmentu jelita grubego. Do-
piero badanie histopatologiczne
pozwoliło w pełni zobrazować
skalę operacji - guz miał
46 centymetrów średnicy i wa-
żył 12 kilogramów.

- To są procesy, które rozwi-
jają się latami. Guzy zaotrzew-
nowe należą do rzadkich, ale po-
trafią osiągać gigantyczne roz-
miary, ponieważ długo nie dają
jednoznacznych objawów. Pa-
cjent stopniowo adaptuje się
do zmian zachodzących w orga-
nizmie i często trafia do lekarza
dopiero w bardzo zaawansowa-
nym stadium - tłumaczy chi-
rurg.

Powrót do sprawności i ważny sygnał dla pacjentów

Po operacji pacjent zgłosił się
już na wizytę kontrolną. Czuje
się bardzo dobrze, stopniowo
wraca do sprawności i - jak pod-
kreślają lekarze - odzyskał ener-
gię oraz radość życia. Dalsze le-
czenie i rokowanie wymagają in-
dywidualnej oceny oraz regular-
nej obserwacji.

Lekarze zwracają uwagę, że
każdy przewlekły, narastający
objaw - bóle brzucha, dolegli-
wości ze strony układu pokar-
mowego czy wyraźne zmiany
w wyglądzie ciała - powinien
skłonić do pilnej diagnostyki.
To właśnie szybkie badania ob-
razowe lub endoskopowe, zle-
cone przez lekarza pierwszego
kontaktu, mogą mieć kluczowe
znaczenie dla zdrowia, a cza-
sem życia pacjenta.

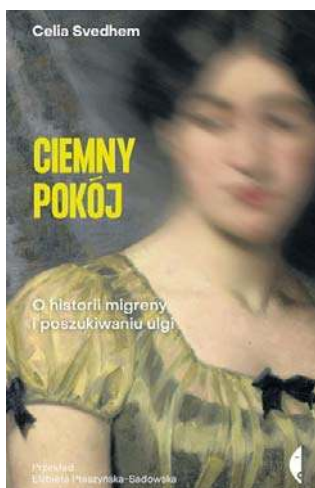
na półce



„Ciemny pokój. O historii migreny i poszukiwaniu ulgi”

Celia Svedhem

Wydawnictwo Czarne



Migrena - jedna z najpowszechniejszych, a zarazem najłatwiej rozumianych dolegliwości. Zaburza rytm życia, niszczy relacje, utrudnia pracę, uniemożliwia czerpanie radości z najzwyklejszych rzeczy. Autorka - sama kiedyś niemal codziennie cierpiąca na paraliżujące bóle głowy - opowiada o kolejnych terapiach i odkryciach, które z czasem pozwoliły ograniczyć częstotliwość ataków. Migrena ma bogatą historię kulturową. Svedhem odnajduje jej ślady w biografii Lewisa Carrolla, Virginii Woolf, Zygmunta Freuda i wielu innych myślicieli, pisarzy, artystek. W odległej przeszłości próbowano ją leczyć za pomocą wywiercania otworów w czaszce albo tak absurdalnych terapii, jak okłady z kretów.

W XIX wieku migrenę romantyzowano, sądzono, że dotyka jedynie pracujących intelektualnie mężczyzn; później, że to choroba wrażliwych kobiet. Nigdy nie była lekceważona przez lekarzy, ale nierzadko także dzisiaj osoby zgłaszające się po pomoc spotykają się z podejrzeniem, że szukają wymówki od obowiązków lub po prostu przesadzają. Współczesna nauka odnosi jednak coraz większe sukcesy w odnajdywaniu przyczyn migreny. Ciemny pokój to zapis życia w cieniu tej choroby, a zarazem opowieść o medycynie, która coraz skuteczniej pomaga chorym, a przy tym przezwycięża uprzedzenia i stereotypy. Oto krótki fragment książki Celii Svedhem.

„Redukuję jasność ekranu w komórce do minimum i podczas ataków zaczynam robić hasłowe notatki w telefonie, nierzadko usiane błędami. »Pinezki. W czasie. Gwoździe. Pieprzone duże gwoździe. Jakby ktoś je wbijał«. To daje mi jakiś grunt pod nogami. Skupiam myśli na tym, co jest, a odciąga od tego, co może nadejść. Po wstukaniu zaledwie paru niby-zdań w aplikacji do notatek muszę odłożyć komórkę”.

Jadwiga Jenczelewska



Jadwiga Jenczelewska

PRAWILNE GŁUPTASKI

Z Unią Europejską jest trochę tak jak ze zdrowiem: gdy je mamy - przeważnie wtedy, kiedy jesteśmy młodzi, sprawni i dynamiczni, choć bywają wyjątki od tej normy - z reguły go

scem prezentowania poglądów, ale czy musi to być eksplozja chamstwa?

Podczas jednej z wizyt za granicą miałem okazję uczestniczyć w posiedzeniu parlamentu naszego sąsiada. Ponieważ adwersarze prześcigali się w utarczках słownych, w pewnym momencie uznali, że czas przejść do gestów. Posłowie jednej z opcji uznali, że ich przeciwnicy są dalece niesprawni intelektualnie, więc postanowili wszystkim im włożyć do skrytek puszek z jakimś napojem, który, jak głosiła naklejka na napoju, miał rozjaśniać umysł. Do puszek przykleili kartki: „Abyście zmądrzeli”.

Poirytowani „prezentami” posłowie odwiedzili się swoim przeciwnikom również prezentami: włożyli im do skrytek pudełka z przerwatymi, do których przykleili kartki: „Obyście się nie mogli rozmnażać”. Od tego incydentu minęło trochę lat, ale jak widzimy się co jakiś czas, dalej o tym opowiadają.

3. Ja również przeżyłem incydent totalnej dezaprobaty, wyrażony w sposób dosadny, ale skuteczny. Byłem przewodniczącym senackiej Komisji Gospodarki i Finansów Publicznych, prowadziłem obrady komisji transmitowane w internecie nad projektem jakiejś ustawy, który dotyczył ulg podatkowych. Podczas posiedzenia zadzwonił do mnie minister finansów i zaproponował, abym usunął zapis o odpisie od jakiejś usługi internetowej i zamienił go na zapis o możliwości otrzymania celowej dotacji z budżetu państwa w tej samej kwocie.

Niewiele się zastanawiając, zgłosiłem to jako własną poprawkę. Oczywiście, przeszła i wydawało mi się, że na tym ko-

niec. Nic bardziej błędnego. Poprawka poirytowała obserwatorów internetowej relacji na tyle, że jeden z nich wysłał na adres komisji najbardziej inteligentną krytykę, jakiej doświadczyłem. Brzmiała tak: „Gdybyś żył w czasach Gutenberga, to do dziś nie byłoby druku”. Fajne, a jak dalekie od tej przypadłości umysłowej, którą tak brutalnie nazwał poseł PiS-u.

Generalnie, karzenie jest narzędziem użytecznym w kierowaniu lub porozumiewaniu się z zespołem, zwłaszcza z podwładnymi. Kiedy byłem dyrektorem kopalni, okazji, aby wyrazić swój krytyczny pogląd wobec podwładnych, było co niemiara. Ale szybko zauważyłem, że ani nie lubię, ani nie skutkuje podnoszenie głosu i przeklinanie.

Kiedyś, serdecznie poirytowany bezcelowością objaśniania czegoś jednemu z moich podwładnych nadsztygarów, daleki od wszczynania awantury, powiedziałem dokładnie tak: „Przyjdź do mnie z swoją żoną, ja jej to wytłumaczę, co ty masz zrobić. Ona ci to przełoży na język domowy i może to do ciebie trafi”. „Pouczony” nadsztygar opowiadał potem kolegom, że „stary”, czyli ja, tak go opier..., jak jeszcze nikt. „Kazał mi przyjść z moją do niego, bo ja jest za głupi, aby zrozumieć, o co mu chodzi”. Oczywiście, żony pana nadsztygara nie poznałem, ale on do dziś mi to przypomina.

4. Czyli jest subtelna i górnicza alternatywa dla parlamentarnego debilizmu. Szukając przykładów subtelnej polemiki, przypomniła mi się utarczka, całkiem nieodległa, z uczonym adwersarzem, który zaciekle bronił swojego poglądu w pewnej energetycznej kwestii. Posługiwał się

JEDEN Z OBSERWATORÓW WYSLAŁ NAJINTELIGENTNIEJSZĄ KRYTYKĘ, JAKIEJ DOŚWIADCZYŁEM: „GDYBYŚ ŻYŁ W CZASACH GUTENBERGA, DO DZIŚ NIE BYŁOBY DRUKU”

szanować, bo nie jest dane raz na zawsze. A kiedy już to zdrowie tracimy, o! wtedy nie potrafimy o niczym innym mówić, niczym innym się zajmować i zamartwiać, jak tylko tym bezpowrotnie utraconym skarbem. Zresztą, identycznie jest z innymi bezcennymi, równie ważnymi dobrami: młodością i wolnością.

Kiedy Polska była w gronie tzw. demoludów, czyli do 1989 roku, marzyliśmy o zachodnim dobrobycie. Posiadanie rodziny w Republice Federalnej Niemiec, we Francji lub w Anglii od razu sytuowało „wybrańców” w uprzywilejowanej pozycji. Nic dziwnego, że wielu z nas wstąpienie do UE świętowało i traktowało jako awans cywilizacyjny nie tylko jednostek, ale całego narodu.

ów uczony mało mi znanym, ale jego ojczystym językiem, bo innego nie znał. Kiedy uznał, że mnie i moich kolegów nie przekonał, odpalił, cytując: „My się nigdy nie porozumiemy, nawet merytorycznie, bo ty i twoi koledzy nie znacie języków obcych”, czyli jego języka. Na co zaproponowałem mu rozmowę w trzech innych językach, bo jego ojczystego nikt nie znał, oczywiście bez mojego ojczystego. W końcu musiał uznać, że aby rozmawiać, warto wiedzieć nie tylko to, co się chce powiedzieć, ale i umieć to powiedzieć. Ale to nie powód, by nazywać się debilami.

Na koniec felietonu, w którym utraciłem wątek noworoczny, przytoczę górnicze wydarzenie minionego roku 2025! Otóż, moim zdaniem, nie kwalifikuje się do tego żadne wydarzenie gospodarcze ani techniczne z mojego ukochanego górnictwa, ale wyczyn pana Grzegorza, przewodniczącego Zarządu Zakładowego NSZZ „Solidarność” w Przedsiębiorstwie Górniczym Silesia w Czechowicach-Dziedzicach, już tak.

Tenże dzielny i doskonale znany mi związkowiec, skutecznie poirytowany poczynaniami władarzy swojej kopalni oraz godną szacunku troską o ludzi, doprowadził do wyczynu, który się nie udał dotąd nikomu. Otóż, nie tylko zmusił ministra energii, aby przyjechał do Katowic o dwa tygodnie wcześniej niż tenże planował, ale jeszcze zabrał ze sobą aż pięciu wiceministrów.

5. I tak to w całej powojennej historii polskiego górnictwa po raz pierwszy przyjechał z Warszawy pełen mikrobus ministrów, do których na Śląsku dołączył najwyższy rangą w Katowicach przedstawiciel urzędu, czyli pan wojewoda śląski. I dopiero wtedy pan Grzegorz uzyskał to, o co mu chodziło. Zatem można - bez wyzywania się, bez obrażania, po prostu - wystarczy chcieć. I można coś zrobić dla zmęczonych i poirytowanych 754 górników kopalni Silesia. Brawo, panie Grzegorzu. ©©

Tymczasem w jednej z aplikacji społecznościowych wychodzą jakieś zmyślone, nieistniejące panienki, nastoletnie głuptaski i pod hasłem „Prawilne Polki” pouczają ludzi, czym jest Unia. Obryzdują ją innym i wmawiają, że gdy wrócimy do zgrzebnego PRL-u, znów będziemy szczęśliwi i wolni. Lecz Polacy z roczników, które mają w życiu obowiązkową naukę języka rosyjskiego, doskonale wiedzą, skąd pochodzi słowo: „prawilne”. Z tego powodu wiedzą też, jak wyglądało życie w Polsce bez Unii Europejskiej, jaka była suwerenność w morderczym uścisku socjalistycznego „wielkiego brata”, który przez dziesięciolecia wymuszał na nas „prawilność”. Czy chcemy powtórki z tej przeszłości? ©©

NARODOWA LISTA ~~ZMARTWIEN~~

(KOLEJNOŚĆ PRZYPADKOWA)

1. ZDROWIE
2. BEZPIECZEŃSTWO
3. PIENIĄDZE
4. BEZPIECZEŃSTWO
5. PIENIĄDZE
6. ZDROWIE
7. PIENIĄDZE
8. ZDROWIE
9. BEZPIECZEŃSTWO

ROK 2025 NIE BYŁ ZŁY. I BYŁE 2026 NIE BYŁ GORSZY

Rok, który minął, większość z nas uważa za udany – tak w sferze prywatnej, jak i zawodowej. W roku 2026 najbardziej obawiamy się problemów z dostępem do służby zdrowia, pogorszenia zdrowia własnego lub bliskich. Sen z powiek spędza nam to, co dzieje się na świecie: wojny, konflikty, niepewność. Polityczna sytuacja w kraju też nie nastraja optymizmem. Był więc ten nowy rok nie był gorszy niż 2025

Dorota Kowalska

Marta, 28 lat, pracownik korporacji. A oprócz tego zapalona eko-łożka, fanka polskich siatkarzy i butów na koturnie. Na początku zeszłego roku zrobiła sobie tabelkę i wypisała rzeczy, które chce zrobić w 2025 roku. I tak postanowiła wreszcie zdać egzamin na prawo jazdy, prze-kluć sobie uszy, dwa razy wyjechać gdzieś na urlop, upiec dwa ciasta – to tylko kilka z punktów zapisanych na białej kartce.

– Prawie wszystko zrealizowałam! – wykrzykuje.

Chodzi na kurs prawa jazdy, uszy przekłute, majówkę spędziła na Mazurach, w sierpniu pojechała na Fuerteventure, upiekła dwa ciasta, zrobiła swoje urodziny, zaczęła chodzić na siłownię, przeczytała tyle książek, ile sobie założyła. Dużo.

– W sumie to był udany rok. Zawsze mogłoby być oczywiście lepiej, ale nie ma co narzekać – mówi.

Znajomi też są zadowoleni. Marta zrobiła wreszcie remont mieszkania, dostała je po rodzicach i wymagało gruntownego odświeżenia, Alicja poszła na studia podyplomowe jak chciała, Maciek dostał podwyżkę, chociaż i tak jako informatyk zarabia dużo więcej niż ona, Pola wreszcie dostała pracę, o jakiej marzyła. W każdym razie przestała kelnierować.

– Nie przydarzyło mi się też nic złego: wszyscy w rodzinie są zdrowi, nikt nie miał wypadku samochodowego, nie połamał nóg ani ręk, nie zachorował. W sumie moja rodzina też nie powinna narzekać – opowiada.

I dodaje, że jednej rzeczy nie udało jej się zrealizować: zmienić pracy. To zadanie na ten rok. Poza tym założyła sobie, że w 2026 poleci gdzieś poza Europę, ale to już załatwione: lot wykupiony, mieszkanie zabukowane, plan wycieczki opracowany w najmnijszym

szczegółach – w lutym dwa tygodnie spędzi w Azji.

Marta nie jest wyjątkiem, bo teraz trochę liczb. Jak wynika z najnowszego badania CBOS, Polacy oceniają 2025 rok w wymiarze osobistym, zawodowym oraz w odniesieniu do Polski i świata generalnie lepiej niż 2024 rok, choć – umówmy się – poprawa jest niewielka.

Ponad trzy piąte badanych (62 proc.) stwierdziło, że rok 2025 – najogólniej rzecz biorąc – był dla nich dobry. Jednak zaledwie 7,9 proc. ankietyowanych uznało mijający rok za bardzo dobry dla siebie.

Mimo iż łączny odsetek dobrych ocen roku 2025 jest minimalnie wyższy niż w odniesieniu do roku 2024 (wzrost o 1,9 pkt proc.), to ubyło ocen dobrych (spadek o 3,4 pkt proc.), a przybyło dość dobrych (wzrost o 4,9 pkt proc.).

Na ubiegłorocznym poziomie w odniesieniu do wymiaru osobistego utrzymuje się odsetek wskazań oceny „ani dobry, ani zły” (obecnie 27,4 proc.). O 1,8 pkt proc. ubyło natomiast ocen negatywnych (obecnie 10,3 proc.). W niemal równym stopniu ubyło wskazań odpowiedzi „bardzo zły” i „zły” (łącznie o 1 pkt proc.), jak i „raczej zły” (spadek o 0,8 pkt proc.).

„W dłuższej perspektywie warto też zauważyć, iż generalnie od 2005 do 2025 roku nieustająco dominowały grupy respondentów oceniających, że mijający rok był dla nich dobry. Ten okres względnej prosperity Polaków zbiega się z przynależnością Polski do Unii Europej-

skiej” – ocenili autorzy badania.

Gospodarka ma się dobrze

Justyna, 48 lat, zamężna, dwójka dzieci. Razem z mężem prowadzą własną firmę, Adam i Marcelina, ich pociechy, chodzą do szkoły średniej. Mają jeszcze Koksę, owczarka niemieckiego i małą kotkę, Rudą.

– Myślę, że rodzina jest dla mnie najważniejsza. Oczywiście, zdrowie to podstawa. Ale ważne są relacje między nami i dziećmi, atmosfera panująca w domu. Póki co, dogadujemy się świetnie i w 2025 roku nic się w tej kwestii nie zmieniło – wylicza. Mają sporą grupę znajomych, często się spotykają, wyjeżdżają razem na wakacje. To też dla nich ważne.

– Podobnie jak praca. Nie wyobrażamy sobie, żeby robić coś, czego nie lubimy. W końcu spędzamy w swojej firmie ponad osiem godzin dziennie. Uważam, że praca powinna inspirować, motywować, powinna pozwolić na rozwój, to jednak istotny aspekt życia. W naszym przypadku wciąż tak jest – uważa. Zarabiają tyle, że wystarcza na zajęcia dodatkowe dzieci, wspólny wakacyjny urlop. Zimowy zawsze spędzają tydzień w Beskidach, syn i córka jeżdżą na snowboardzie, ona z mężem na nartach.

– Prowadzimy normalne, przeciętne życie, bez luksusów, bez szaleństw, ale stać nas na to, żeby nasze dzieci rozwijały swoje zainteresowania, żebyśmy gdzieś wyjechali, coś zobaczyli. Staramy się nie szastać pieniędzmi – mówi.

W 2025 roku spędzili z dziećciakami wakacje na Majorce, kupili trochę nowych sprzętów do domu, wymienili stary piec i pralkę.

– Nie robimy sobie jakichś wielkich planów na ten rok – zauważa. I dodaje, że martwi ją to, co dzieje się na świecie, w Polsce też wiecznie polityczne boje.

Ale też gdybyśmy chcieli podsumować 2025 rok, to w światowej polityce bez dwóch zdań został on zdominowany przez powrót Donalda Trumpa do Białego Domu. Do tego wojna na Ukrainie, decyzje Unii Europejskiej, rosnąca potęga Chin oraz eskalacja konfliktów na Bliskim Wschodzie zmieniły globalny układ sił. W Polsce nowym prezydentem został Karol Nawrocki, który wygrał w II turze wyborów z Rafałem Trzaskowskim. W siłę rośnie skrajna prawica: tak Konfederacja jak Grzegorz Braun.

Co do gospodarki, rok 2025 był dla niej przełomowy: wzrosło PKB, konsumpcja, poziom inwestycji, wzrosły płace, choć wolniej niż w 2024 roku, spadła inflacja. Niestety, wzrósł dług publiczny. Polska dołączyła jednak do grona gospodarek z PKB powyżej 1 biliona dolarów, jest dzisiaj dwudziestą gospodarką świata.

Wracając do raportu CBOS, niemal tyle samo badanych mijający rok uważa za dobry dla Polski (35,7 proc.) co tych opisujących go jako „ani dobry, ani zły” (35,4 proc., wzrost o 2,1 punktu). Wśród ocen pozytywnych przybyło przede wszystkim dobrych i bardzo dobrych (łącznie o 2 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem ubyło ocen negatywnych (25 proc., spadek o 2,9 pkt proc.).

W odniesieniu do świata większość badanych (55,9 proc.) uważa, że rok 2025 był dla świata zły. Jest to nieznacznie mniej niż w odniesieniu do roku ubiegłego (spadek o 1,4 pkt proc.).

Pozytywne oceny wystawiło mu jedynie 12,7 proc. respondentów, czyli tylko nieznacznie więcej niż przed rokiem (wzrost o 1,4 pkt proc.). W porównaniu z poprzednim rokiem nieznacznie przybyło też uważających mijający rok za „ani dobry, ani zły” (24,4 proc.).

„Rok 2025 jest w ocenie badanych jednym z siedmiu najgorszych dla świata w okresie objętym badaniami, czyli od roku 1986. Wyniki dotychczasowych badań pokazują, iż – w odbiorze Polaków – pandemia COVID-19 rozpoczęła trwający już sześć lat okres złej pasy dla naszego globu, a pierwszy rok wojny na Ukrainie skutkował jeszcze okresowym pogłębieniem negatywnych nastrojów” – podkreślili autorzy.

Respondenci pracujący zarobkowo, choćby w niepełnym wymiarze godzin, oceniali także, jaki był wpływający rok dla ich zakładów pracy. 64 proc. uznało go w tym wymiarze za – najogólniej rzecz biorąc – dobry. Pozytywnych ocen jest więcej o 5,3 pkt proc. niż rok temu, przy czym przybyło przede wszystkim bardzo dobrych i dobrych (łącznie o 4,4 pkt proc.).

Na poziomie zbliżonym do ubiegłorocznego kształtuje się odsetek badanych uważających mijający rok za zły dla swoich zakładów pracy (12,1 proc., wzrost o 0,5 pkt proc.). Zmniejszyła się natomiast grupa, która oceniła, że mijający rok był dla ich zakładów pracy „ani dobry, ani zły” (19,7 proc., spadek o 6,9 pkt proc.).

Na te pracujących w innych sektorach znacznie gorszymi ocenami 2025 roku w odniesieniu do swojego miejsca pracy wyróżniają się badani pracujący w prywatnych gospodarstwach rolnych. Wśród nich ocen pozytywnych jest 41 proc.

Obawy o bezpieczeństwo

Wojtek, 43 lata, informatyk. Mijający rok był dla niego do-

bry, bez fajerwerków, jak mówi, ale bez wielkich nieszcześć. On wciąż najbardziej boi się wojny, tego, co dzieje się za wschodnią granicą, na Bliskim Wschodzie w Ameryce Łacińskiej.

– To się może wymknąć spod kontroli – uważa.

I tłumaczy: nikt się nie spodziewał, że Putin rozpocznie wojnę w Ukrainie. Ale tak się stało. Wojna trwa już prawie cztery lata i nic. Putin nie cofnie się o krok. Z kolei Trump to biznesmen, który na wszystko patrzy przez pryzmat pieniędzy, dla niego nieważne, jak skończy się ta wojna, grunt, żeby na tym zyskał.

– Do tego konflikt na Bliskim Wschodzie, zamieszanie w Wenezueli, bo porwanie przez Amerykanów prezydenta Maduro daje do myślenia. Wprawdzie to dyktator, ale przywódca suwerennego państwa. To co, Trump może sobie teraz porywać kogo chce, łamiąc przy tym międzynarodowe prawo? Na świecie nie dzieje się dobrze. Są rzeczy, na które nie mamy wpływu i takie sytuacje najbardziej mnie stresują, wywołują u mnie strach – przyznaje Wojtek.

Obawy Wojtki nie są bezzasadne. Wprawdzie Polacy najbardziej boją się, że w 2026 roku zetkną się z trudnościami w dostępie do służby zdrowia, tak przynajmniej wynika z nowego sondażu IBRIS dla Wirtualnej Polski, ale drżą też o bezpieczeństwo swoje i kraju. I tak, ankietyowani pytani o to, czego najbardziej obawiają się w 2026 roku, mieli wskazać trzy z kilkunastu odpowiedzi. Okazuje się, że głowy Polaków najczęściej zaprzątają problemy z dostępem do służby zdrowia. Opcję tę wskazało 47,5 proc. respondentów. Na drugim miejscu znalazły się za to obawy o pogorszenie zdrowia własnego lub bliskich. Tę odpowiedź wybrało 45,3 proc. badanych.

**PONAD TRZY PIĄTE BADANYCH
(62 PROC.) STWIERDZIŁO, ŻE ROK
2025 BYŁ DLA NICH DOBRY. ZALE-
DWIE 7,9 PROC. ANKIETOWANYCH
UZNAŁO GO ZA BARDZO DOBRY**



Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać

Kolejnym najczęściej wskazywanym lękiem Polaków są zagrożenia bezpieczeństwa kraju, które wskazało 44,2 proc. ankietowanych. Niewiele mniej, bo 43,3 proc., deklaruje za to, że obawia się o sytuację wewnątrz kraju – niestabilność polityczną i spory.

Kolejne miejsca zajmują lęki o wzrost kosztów życia, czyli kwestie takie jak inflacja, rachunki czy ceny żywności (41,5 proc.), a także o utratę pracy lub źródła dochodu (21,8 proc.). Na ostatnim miejscu znalazła się obawa o zmiany klimatyczne i gwałtowne zjawiska pogodowe (7,9 proc.), 2,4 proc. respondentów wybrało odpowiedź „nie wiem/trudno powiedzieć”, a 0,6 proc. „inne”.

Trudno się dziwić tym wskazaniom, bo sytuacja na świecie może niepokoić.

- Rok 2024 był krwawy. Rok 2025 był jeszcze gorszy. W 2026 roku wchodzimy w niebezpieczną epokę, w której rośnie przyzwolenie na przemoc – ostrzegła prof. Clionadh Raleigh, dyrektor generalna międzynarodowej organizacji ACLED, zajmującej się monitorowaniem konfliktów zbrojnych i przemocy politycznej na świecie. Według danych ACLED, w 2025 roku co szósta osoba na świecie była zagrożona konfliktami zbrojnymi. Nic nie wskazuje na to, by ta sytuacja miała się poprawić.

Cisza przed burzą w Azji. Okrągłe urodziny Ameryki i ostateczny test dla jej obec-

nego prezydenta Donalda Trumpa, którego polityka może szokować. Zamieszanie w Ameryce Łacińskiej. Wojna handlowa między Chinami i Stanami Zjednoczonymi. Bliski Wschód na beczce prochu. Wojna w Ukrainie, której końca nie widać. W kraju dalsza wojna prezydenta z rządem i coraz wyraźniejszy skręt w prawo.

- Wiele rzeczy może się wydarzyć. Powiem pani tyle: mimo że nie będzie wyborów w Polsce, to prorokuję, że to będzie bardzo gorący rok i jeśli chodzi o polityczne wydarzenia w naszym kraju i te na świecie – mówił w ostatnim wywiadzie były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Tak, to może być trudny, niebezpieczny rok.

Zdrowie najważniejsze

Najbardziej boimy się jednak tego, co związane z naszym zdrowiem, to ono od lat jest dla Polaków najważniejsze, podobnie jak rodzina. O tym, że w kwestii zdrowia rośnie świadomość Polaków, świadczy chociażby fakt, że nie zamierzamy na nim oszczędzać. Jak

wynika z badań w 2025 roku Polacy planowali ograniczyć wydatki na elektronikę, rozrywkę i przyjemności, za to zamierzali inwestować w zdrowie i kondycję fizyczną.

Nie bez znaczenia w naszym postrzeganiu siebie, swojego zdrowia i kondycji jest rozwój medycyny. Dzisiaj leczymy choroby, które kiedyś uchodziły za nieuleczalne. Funkcjonują programy zdrowotne, także te profilaktyczne, z których spora grupa Polaków może korzystać i korzystać.

W ostatnich ośmiu latach wzrosło przekonanie, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem państwa, tak przynajmniej wynika z badań CBOS. Obecnie 56 proc. ankietowanych podziela ten pogląd, co stanowi wzrost o 15 punktów procentowych. Natomiast 38 proc. uważa, że ochrona zdrowia jest przede wszystkim obowiązkiem jednostki, tu widzimy spadek o 17 punktów procentowych. I wprawdzie 66 proc. Polaków negatywnie ocenia aktualną służbę zdrowia, kolejne 22 proc. ankietowanych jest z niej zadowolonych, ale prawda jest taka, że jed-

nak oferuje nam ona więcej niż jeszcze kilkanaście lat temu.

Ewa, 66 lat, wysoka, szczupła. Właściwie od zawsze dbała o siebie: jeździła na rowerze, spacerowała, nie zmieniła tego faktu, że już kilka lat temu przeszła na emeryturę.

- Wyjście do pracy wymusza na nas pewne zachowania. Trzeba wstać, ubrać się, zrobić makijaż. No i samo przebywanie między ludźmi jest motywujące, inspirujące, jest po prostu człowiekowi potrzebne – tak opowiada.

Szybko się pozbierała. Znalazła kilka pań, które, jak ona, nie chciały gnuśnić w domu. Postanowiły działać. Dwa razy w tygodniu chodzą na basen i gimnastykę, co drugi dzień biegają „na kijki”.

Razem z mężem podróżują. W ciągu roku są w stanie odłożyć na jeden zagraniczny wyjazd, byli już w Grecji, Bułgarii, Chorwacji.

- Do jedzenia kupuję produkty droższe, ale lepsze jakościowo – przyznaje. - Nie objadamy się, wolimy zjeść mniej, ale lepiej – mówi. Odstawili słodycze, czasami pozwolą sobie na jakieś kruche ciasteczko do kawy. W ich diecie jest dużo owoców i warzyw.

- W naszym wieku wizyty i lekarza to już niemal codzienność – mówi Ewa. I dodaje, że nie będzie wchodzić w szczególności, ale ich kalendarz na ścianie, na którym zaznaczają, do kogo i kiedy, jest cały na czerwono.

- Oczywiście, że na niektóre wizyty czekamy po kilka miesięcy. Czasami, żeby nie czekać, idziemy na badania prywatnie, ale nie zawsze nas stać, wtedy zostaje państwowa służba zdrowia. Czy to problem? Tak – mówi. I dodaje, że to kłopot zwłaszcza dla tych, którym się spieszy, bo dzisiaj skierowanie z adnotacją „na cito” wcale nie znaczy jutro, za tydzień czy za dwa.

Co ciekawe, CBOS w 2024 roku po ośmiu latach przerwy powróciło do badania zachowań prozdrowotnych Polaków. Według sondażu 61 proc. respondentów ocenia swój stan zdrowia jako co najmniej dobry. Jedynie 10 proc. badanych uważa, że ich zdrowie jest złe.

W porównaniu do 2016 roku, lepiej oceniamy swoją kondycję zdrowotną. Odsetek osób zadowolonych ze swojego zdrowia wzrósł o 6 punktów procentowych. Częściej zadowolenie ze swojego zdrowia deklarują mężczyźni, mieszkańcy największych miast, osoby lepiej wykształcone oraz te o wyższych dochodach.

Polacy uważają, że najważniejszym czynnikiem wpływającym na poprawę zdrowia jest właściwe odżywianie się – taką odpowiedź wskazało 50 proc. badanych. Dalej: niepalenie papierosów (27 proc.), regularne uprawianie sportu (26 proc.) regularne wizyty u lekarza (26 proc.).

Młodsze pokolenie uważa, że na nasz dobry stan zdrowia wpływ ma zwłaszcza uprawia-

nie sportu, starsze osoby stawiają na regularne wizyty u lekarza, niepalenie papierosów i niepicie alkoholu. Największe znaczenie zdrowemu odżywianiu przypisują osoby w wieku 25-44 lat.

Pieniądze też ważne

Zawartość portfela też spędza nam sen z powiek w 2026 roku. Bo wprawdzie sytuacja gospodarcza kraju jest lepsza, spadła inflacja, coraz więcej zarabiamy, ale też coraz więcej wydajemy.

Ewelina, 57 lat, wciąż czynna zawodowo. Zarabia w granicach 6,5 tys. złotych na rękę. Jeszcze dwa lata temu razem z mężem wynajmowali w jednym ze śląskich miast spore mieszkanie w kamienicy. Córka, Monika ze swoją rodziną – mężem, roczną córeczką i siedmioletnim synem, także płacili za wynajem trzypokojowego lokum w bloku z wielkiej płyty.

- Postanowiliśmy wziąć kredyt i wspólnie kupić dom pod miastem. Znaleźliśmy taki, w stanie zamkniętym surowym. Ma dwa osobne wejścia: górę miała zamieszkiwać Monika z rodziną, my dół – opowiada Ewelina: niewysoka, włosy do ramion, pełna energii.

Szybko obliczyli, że muszą wziąć 200 tys. złoty kredytu na wykończenie domu. Tak też zrobili. Było ciężko, bo wciąż wynajmowali mieszkania, a musieli już spłacać zadłużenie. Potem „ciężko”, zamieniło się w „tragicznie”. Przyszła wojna w Ukrainie, inflacja, podwyżki stóp procentowych, rata kredytu niemal się podwoiła. Ceny materiałów budowlanych też poszybowały w górę.

- Kiedy przyszedł fachowiec wycenić, ile weźmie za położenie wylewki w całym domu, stwierdził, że 8 tys. złotych, koniec końców wziął 19 tys., bo tak zdrożał materiał i koszty pracy – opowiada.

Za 200 tys. złotych zrobili połowę tego, co zamierzali zrobić. Przez dwa lata w dwie rodziny mieszała na parterze domu, w tym roku wykończyli piętro. Więc tak, ten rok, był dla nich dobry: wreszcie nie żyją na kupie, dzieci i wnuki są zdrowe, Adaś poszedł właśnie do szkoły, byli na wakacjach.

- Jest lepiej niż było, ale wciąż nie szalejemy z wydatkami. Oboje z mężem boimy się, żeby nas nie zwolniono z pracy, chcemy doczekać do emerytury, potem jakoś już będzie. Zawsze gdzieś sobie dorobimy – opowiada.

Czego najbardziej boi się w 2026 roku?

- Drożyzny, coraz wyższych cen w sklepach – mówi.

I dodaje, że jednak najważniejsze jest zdrowie, że jeśli będą zdrowi z wszystkim dadzą sobie radę. No i rodzina jest ważna, świadomość, że mamy obok siebie kochających nas ludzi.

PAP

**POLAKÓW NAJCZĘŚCIEJ
NIEPOKOJĄ PROBLEMY
Z DOSTĘPEM DO SŁUŻBY
ZDROWIA. OPCJĘ TĘ WSKAZAŁO
47,5 PROC. RESPONDENTÓW**

KATOWICZANKA PRZEZ WIELKIE „K”. O NOWYCH ZASADACH PISOWNI OD 2026 ROKU

- Pisownia nazw mieszkańców miejscowości i dzielnic była od dawna dużym problemem dla użytkowników języka polskiego. Do 2026 roku w ten sposób zapisywano nazwy mieszkańców regionów, np. Małopolanin lub państw, np. Polak – mówi dr Małgorzata Kułakowska, językoznawca z Uniwersytetu Rzeszowskiego

Urszula Sobol

Pani doktor, dlaczego zdecydowano się na takie zmiany zasad pisowni właśnie teraz?

Decyzję o zmianie zasad ortograficznych języka polskiego podjęła Rada Języka Polskiego, która w myśl „Ustawy o języku polskim” z 1999 roku, ma za zadanie wydawać opinie i doradzać w sprawach związanych z ochroną języka polskiego oraz dbać o poprawność językową. Zapowiedź zmian w zasadach pisowni ogłoszono w 2024 roku, dlatego nie powinny być zaskoczeniem. Tym bardziej że – jak czytamy w komunikacie Rady Języka Polskiego – większość wprowadzonych zmian była postulowana już od dłuższego czasu. Wprowadzenie nowych zasad ortograficznych jest reakcją na sposób, w jaki użytkownicy języka polskiego zapisują różnego typu problematyczne wyrazy lub grupy wyrazów.

Co wpływa na decyzje dotyczące zmian w zasadach ortograficznych?

Błędne formy, jeżeli są często używane, wchodzą do uzusu. Wówczas instytucja, której celem jest dbanie o poprawność językową, czyli Rada Języka Polskiego, wprowadza zmiany w przepisach, by dostosować je do uzusu. W ten sposób innowacja, taka jak np. zwyczaj zapisywania wielką literą nazw mieszkańców miast, staje się nową normą. Warto zauważyć, że taka zmiana staje się niekiedy zakończeniem długiego procesu historycznego. Pisownia łączna „nie” z imiesłowami przymiotnikowymi to efekt tego, że uznajemy je za formy

niemal tożsame z przymiotnikami, w których „nie” jest pisane zawsze łącznie. Przeciętny użytkownik języka polskiego nie widzi różnicy pomiędzy takimi wyrazami, jak niewątpliwy i niewątpliwy, choć pierwszy jest imiesłowem przymiotnikowym, a drugi – przymiotnikiem.

Czy nowe reguły bardziej porządkują pisownię, czy raczej ją komplikują?

W komunikacie zamieszczonym na stronie internetowej Rady Języka Polskiego możemy przeczytać, że wprowadzenie zmian w pisowni „przyniesie korzyść w postaci uproszczenia i ujednolicenia zapisu poszczególnych grup wyrazów i połączeń, eliminacji wyjątków, a także likwidacji przepisów, których zastosowanie nie jest z różnych powodów problematyczne, np. wymaga od piszącego zbyt drobiazgowej analizy znaczeniowej tekstu”. Zatem celem wprowadzenia zmian jest porządkowanie pisowni. Niemniej warto pamiętać, że wśród użytkowników języka polskiego są osoby, które skrupulatnie przestrzegają zasad ortograficznych i doskonale znają wszystkie wyjątki. Dla tych osób nowe re-

guły mogą być komplikacją, choć zapewne będą przestrzegać nowych przepisów ortograficznych. Zresztą większość osób wypowiadających się przeciwko reformie zarzuca jej twórcom „pójście na łatwiznę” czy „promowanie błędów”. Można przypuszczać, że dla tych osób znajomość skomplikowanych reguł jest wartością, a ich upraszczanie to negowanie tej wartości.

Czy obowiązujące od 1 stycznia zasady lepiej oddają to, jak Polacy faktycznie piszą?

Reforma była poprzedzona badaniami uzusu, czyli tego, jak faktycznie – nie zawsze zgodnie z normą – piszą Polacy. Językoznawcy informowali o tych badaniach w mediach, np. prof. Katarzyna Kłosińska mówiła o badaniach języka czasopiśm w TVN 24. W związku z tym na to pytanie należy odpowiedzieć twierdząco. Należy dodać, że obecnie – dzięki temu, że wiele osób zamieszcza różne teksty w sieci (na forach dyskusyjnych, w mediach społecznościowych, itp.) – możemy analizować bardzo dużo tekstów i dzięki temu dość precyzyjnie ustalić, jak Polacy faktycznie piszą.

Czy można powiedzieć, że dziś użytkownicy internetu współtworzą normę językową?

Na pewno łatwiej badać pod kątem występowania innowacji teksty dostępne w sieci niż np. wypracowania uczniowskie, czy prywatną korespondencję użytkowników języka. Internet jest też powszechnie używanym medium, czyli próbki tekstów są reprezentatywne dla codziennej polszczyzny. Jednak nie każde powszechne zjawisko językowe, które pojawia się w sieci, jest aprobowane przez językoznawców. Warto wspomnieć o społecznej kampanii „Język polski jest ą-e”, której celem było uświadomienie Polakom, że znaki diakrytyczne, czyli wszystkie ogonki, są bardzo ważne i nie należy ich pomijać nawet w nieformalnej komunikacji. Zaniepokojenie budzą też takie elementy komunikacji językowej w internecie, jak np. emotikony. Wielu badaczy uważa, że zastosowanie ikon informujących o jakimś nastroju powoduje, że coraz trudniej jest opisać emocje słowami, a to zubaża język.

Czy zmiany ortografii budzą sprzeciw?

To pytanie z pogranicza lingwistyki i nauk społecznych. Na pewno osoby dobrze znające zasady ortografii i jednocześnie konserwatywne są przeciwnie wprowadzaniu nowych norm. Nie jest to jednak zjawisko wyjątkowe – każda zmiana budzi takie reakcje. Silne emocje wywołały także poprzednie zmiany w pisowni. I nie mówię tu tylko o ostatnich

zmianach dotyczących pisowni „nie” z imiesłowami. Bardzo duże spory toczyły się wokół prac nad zasadami ortograficznymi polszczyzny w okresie międzywojennym. Pierwsze propozycje zasad opracowane przez Polską Akademię Umiejętności powstały w 1918 roku – budziły jednak tak duży sprzeciw, że nie zostały wprowadzone w życie. Kolejna próba uporządkowania zasad pisowni podjęta w 1932 roku przez PAU również spotkała się z dużym oporem społeczeństwa. Dopiero zaangażowanie Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i powołanie kilku komisji przyniosło rezultat w postaci opracowania zasad ortograficznych w 1936 roku. Jednak także wówczas wiele środowisk (np. literackich, dziennikarskich) zapowiadało bojkot wielkiej reformy ortografii. Zatem, jak widać, wszelkie odgórne zmiany czegoś, co większość ludzi uważa za niezmiennicze, zawsze budzą sprzeciw i emocje. Warto dodać, że w pisowni polskiej obowiązują cztery zasady: fonetyczna (w myśl której, wyrazy zapisujemy tak, jak je słyszymy, np. dom), historyczna (dotycząca pisowni ustalonej w związku z procesami rozwoju języka, które już się zakończyły. Ta zasada decyduje o pisowni takich wyrazów, jak np. góra, rzeka, harcerz, itp.), morfologiczna (w myśl której zapisujemy wszystkie formy wyrazu tak samo, bez względu na to, jak ten wyraz jest wyrażany, np. w wyrażeniu nóż słyszymy na końcu głoskę „sz”,

jednak zapisujemy ją jako „ż”, ponieważ w pozostałych przypadkach słyszymy już głoskę „ż”, np. noża, nożem, itd.) i konwencjonalna (umowna) – polegająca na zastosowaniu takich rozstrzygnięć, które nie mają oparcia w pozostałych zasadach. Zasada ta reguluje użycie wielkiej litery i pisownię łączną lub rozłączną poszczególnych wyrazów. Najnowsza reforma zmienia jedynie część reguł wynikających z tej ostatniej zasady. Przypuszczam, że dużo większe protesty budziłoby, postulowane przez niektórych, odejście od zasady morfologicznej na rzecz fonetycznej zapisu wszystkich wyrazów.

A jakie były najczęstsze błędy użytkowników języka, które wpłynęły na decyzje dotyczące tych zmian?

Najwięcej błędów pojawiało się w pisowni nazw mieszkańców. Użytkownicy często intuicyjnie stosowali wielką literę w nazwach mieszkańców miast i wsi na wzór nazw narodowości. Od 2026 roku zapis typu Rzeszowianin stał się poprawną i jedyną formą. Równie często błędne zapisy pojawiały się w zapisie cząstki „nie” z przymiotnikami w stopniu równym (łącznie) oraz wyższym i najwyższym (rozdzielnie). Od 2026 roku obowiązuje jednolita pisownia łączna, np. nienajlepszy, niewiekszy. Trudności sprawiało także stosowanie małych liter w nazwach, takich jak kawiarnie, restauracje czy obiekty architektoniczne, gdy nie traktowano ich jako nazw własnych. użyt-

**REFORMA BYŁA POPRZEDZONA
BADANIAMI UZUSU,
CZYLI TEGO, JAK FAKTYCZNIE
– NIE ZAWSZE ZGODNIE Z
NORMĄ – PISZĄ POLACY**



FOT. PAWEŁ DUBIEL

Małgorzata Kułakowska: - Wprowadzenie nowych zasad ortograficznych jest reakcją na sposób, w jaki użytkownicy języka polskiego zapisują różnego typu problematyczne wyrazy lub grupy wyrazów

kownicy języka nierzadko nie potrafili określić, co jest nazwą gatunkową, a co już nazwą własną, stąd pojawiały się błędne zapisy typu Aleja Rejtana - na wzór nazwy Aleje Ujazdowskie.

Dlaczego uznano, że nazwy mieszkańców miast i dzielnic powinny być pisane wielką literą?

Jak wspomniałam wyżej, pisownia nazw mieszkańców miejscowości i dzielnic była od dawna dużym problemem dla użytkowników języka polskiego. Do 2026 roku w ten sposób zapisywano nazwy mieszkańców regionów, np. Małopolanin lub państw, np. Polak. Taki zapis podkreślał ważny dla wielu osób związek z krajem czy regionem. Jednak użytkownicy języka polskiego często także zapisywali wielką literą nazwy mieszkańców miast, czy mniejszych jedno-

stek administracyjnych, podkreślając równie ważne związki z małą ojczyzną, np. Rzeszowianina z Rzeszowem. Warto zauważyć, że zmiana pisowni nazw mieszkańców miast, dzielnic i wsi była proponowana już w XX wieku. W 1963 roku opublikowano w „Przekroju” artykuł Walego Pisarka pt. „Zmiany w pisowni”, w którym autor zapowiadał między innymi wprowadzenie pisowni wielką literą nazw mieszkańców miast, wsi i dzielnic miejskich. Protesty czytelników spowodowały, że wycofano się m.in. z tych propozycji.

Jak zmiany w pisowni nazw własnych wpłyną na media, urzędy i szkoły?

Osoby tam pracujące powinny stosować nowe zasady - zwłaszcza w dokumentach urzędowych. Jeżeli chodzi o ocenę poprawności prac

uczniów (w tym egzaminu ósmoklasisty i maturalnego), to do roku 2030 obowiązuje okres przejściowy, kiedy nie uznaje się za błąd zapisu zgodnego ze starymi zasadami ortograficznymi. Uczeń musi jednak stosować te zasady konsekwentnie, czyli np. zawsze zapisywać nazwy mieszkańców miast małą literą. Myślę, że wiele zależy od tego, czy edytorzy tekstu, którymi posługują się dziennikarze i urzędnicy, zostaną wyposażone w słowniki zawierające nowe zasady pisowni. Jeżeli

tak się stanie, to dość szybko dostosujemy się do nowych zasad.

Czy możemy spodziewać się kolejnych zmian w ortografii w najbliższych latach?

To pytanie warto zadać członkom Rady Języka Polskiego. Myślę, że zbyt częste zmiany wywoływałyby duży opór społeczny. Z drugiej strony język polski zmienia się dziś bardzo dynamicznie, więc może na kolejną reformę będziemy czekać nieco krócej niż ostatnio.

*JĘZYK POLSKI ZMIENIA SIĘ DZIŚ
BARDZO DYNAMICZNIE,
WIĘC MOŻE NA KOLEJNĄ
REFORMĘ BĘDZIEMY CZEKAĆ
NIECO KRÓCEJ NIŻ OSTATNIO*

NIKTÓRE ZMIANY ZASAD PISOWNI POLSKIEJ, OBOWIĄZUJĄCE OD 1 STYCZNIA 2026 R.

● Pisownia wielką literą nazw mieszkańców miast i ich dzielnic, osiedli i wsi, np. Warszawianin, Zgierzanin, Ochocianka, Mokotowianin, Nowohucianin, Choczołowianin. Dopuszczenie alternatywnego zapisu (małą lub wielką literą) nieoficjalnych nazw etnicznych, takich jak kitajec lub Kitajec, jugol lub Jugol, angol lub Angol.

● Wprowadzenie pisowni wielką literą nie tylko nazw firm, marek i modeli wyrobów przemysłowych, ale także pojedynczych egzemplarzy tych wyrobów (samochód marki Ford i pod oknem zaparkował czerwony Ford).

● Wprowadzenie rozdzielnej pisowni części -bym, -byś, -by, -byśmy, -byście ze spójnikami, np. Zastanawiam się, czy by nie pojechać w góry.

● Ustanowienie pisowni łącznej nie- z imiesłowami odmiennymi (bez względu na interpretację znaczeniową: czasownikową lub przymiotnikową), tj. zniesienie wyjątku zezwalającego na „świadomą pisownię rozdzielną”.

● Ujednolicenie zapisu (małą literą) przymiotników tworzone od nazw osobowych, bez względu na to, czy ich interpretacja jest dzierżawcza (odpowiadają na pytanie czyj?), czy też jakościowa (odpowiadają na pytanie jaki?), np. dramat szekspirowski, epoka zygmuntońska, koncert chopinowski. Przymiotniki tworzone od imion (rzadziej od nazwisk) zakończone na -owy, -in(-yn), -ów będą mogły być zapisywane małą lub wielką literą, np. jackowe dzieci lub Jackowe dzieci, poezja miłoszowa lub poezja Miłoszowa, zosina lalka lub Zosina lalka, jacków dom lub Jacków dom.

● Wprowadzenie łącznej pisowni członu pół- w wyrażeniach: półzabawa, półnauka; półżartem, półserio; półspał, półczuwał oraz pisowni z łącznikiem w połączeniu typu: pół-Polka, pół-Francuzka (odniesionym do osoby będącej w połowie Polką, w połowie Francuzką).

● Dopuszczenie w parach wyrazów równorzędnych, podobnie lub identycznie brzmiących, występujących zwykle razem, trzech wersji pisowni:

- z łącznikiem, np. tuż-tuż; trzask-prask; bij-zabij;
- z przecinkiem, np. tuż, tuż; trzask, prask; bij, zabij;
- rozdzielnie, np. tuż tuż; trzask prask; bij zabij.

● W zakresie użycia wielkich liter w nazwach własnych:
- w nazwach komet wprowadzenie zapisu wszystkich członów wielką literą, np. Kometa Halleya, Kometa Enckego;

- w nazwach obiektów przestrzeni publicznej wprowadzenie pisowni wielką literą stojącego na początku wyrazu aleja, brama, bulwar, osiedle, plac, park, kopiec, kościół, klasztor, pałac, willa, zamek, most, molo, pomnik, cmentarz itp. (przy utrzymaniu pisowni małą literą wyrazu ulica), np. ulica Józefa Piłsudskiego, Aleja Róż, Brama Warszawska, Plac Zbawiciela, Park Kościuszki, Kopiec Wandy, Kościół Mariacki, Pałac Staszica, Zamek Książ, Most Poniatowskiego, Pomnik Ofiar Getta, Cmentarz Rakowicki;

- wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przyimków i spójników) w wielowyrzowych nazwach lokali usługowych i gastronomicznych, np. Karczma Słupska, Kawiarnia Literacka, Księgarnia Naukowa

- wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przyimków i spójników oraz wyrazów typu imienia) w nazwach orderów, medali, odznaczeń, nagród i tytułów honorowych, np. Nagroda im. Jana Karłowicza i Poli Nireńskiej, Nagroda Nobla, Nagroda Artystyczna Miasta Lublin, Nagroda Literacka Gdynia, Śląska Nagroda Jakóści, Nagroda Rektora za Wybitne Osiągnięcia Naukowe, Nagroda Newsweeka im. Teresy Torańskiej, Nagroda Wielkiego Kalibru, Mistrz Mowy Polskiej, Ambasador Polscy, Honorowy Obywatel Miasta Krakowa.

● Wprowadzenie jednolitej łącznej pisowni części niby-, quasi- z wyrazami zapisywanymi małą literą, np. nibyartysta, nibygotyk, nibyludowy, nibyorientalny.

przy zachowaniu pisowni z łącznikiem przed wyrazami zapisywanymi wielką literą, np. niby-Polak, quasi-Anglia.

● Wprowadzenie łącznej pisowni nie- z przymiotnikami i przysłówkami odprzymiotnikowymi bez względu na kategorię stopnia, a więc także w stopniu wyższym i najwyższym, np. nieadekwatny, nieautorski, niebanalny.

Źródło: <https://rjp.pan.pl/> (Komunikat Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN z 10 maja 2024 r. wraz ze zmianami z 7 listopada 2025 r.)

GÓRNOŚLĄZACY W NIEMCZECH, CZYLI RZECZ O HAJMATSZTUBACH. JAKI ICH LOS?

W hajmatsztubach rozsianych po całych Niemczech możemy znaleźć najróżniejsze skarby. W tych minimuzeach Górnolślązacy stworzyli sobie namiastkę domu, który utracili. Dziś jednak, gdy ostatni Wypędzeni odchodzą z tego świata, coraz częściej podnoszą się głosy, co dalej zrobić ze sztubami

Roman Balczarek



Na włosku wisiał także los profesjonalnej placówki, Muzeum Górnośląskiego w Ratingen. Zostało uratowane. Nie tylko nie będzie połączenia, ale zabezpieczone zostały dodatkowe pieniądze na przebudowę ekspozycji

Pocztówka z przełomu wieków, kufel sygnowany nazwą dawnego szynku, a nawet dzwon cementarny. W hajmatsztubach rozsianych po całych Niemczech możemy znaleźć najróżniejsze skarby. W tych minimuzeach Górnolślązacy stworzyli sobie namiastkę domu, który utracili. Dziś jednak, gdy ostatni Wypędzeni odchodzą z tego świata, coraz częściej podnoszą się głosy, co dalej zrobić ze sztubami.

Nikt nie wie dokładnie, ilu Górnolślązaków mieszka w Niemczech, bo nigdy nie przeprowadzono takiego spisu. Szacuje się, że od dwóch do nawet trzech milionów osób wyemigrowało - dobrowolnie lub pod przymusem - za zachodnią granicę. Tam ułożyli sobie życie na nowo i, co ważne, potrafili się zorganizować. Pamięć o regionie podtrzymuje dziś kilka ważnych instytucji, takich jak Haus Schlesien w Königswinter czy Muzeum Górnośląskie (Oberschlesisches Landesmuseum) w Ratingen oraz kilkadziesiąt mniejszych stowarzyszeń. Wszystko zaczęło się jednak od ziomkostw i tworzenia Heimatsstuben, czyli najprościej mówiąc - izb regionalnych.

Wypędzeni

Ślązacy trafiali do Niemiec falami. Pierwsza, w latach 1945-1948, była podyktowana sytuacją polityczną i wojenną. Część mieszkańców uciekała w obawie przed zbliżającym się frontem, choć ci stanowili mniejszość - większość Górnolślązaków przeszła piekło inwazji Armii Czerwonej.

Następnie ruszył proces przesiedleń. Znow - niektórzy emigrowali z własnej woli (choć zmuszeni zmianą granic), innych czekały systemowe wywózki. Początkowo polska władza wyrzucała z mieszkań ludzi uznanych za Niemców (część z nich niewątpliwie nimi była) i gromadziła ich na dworcach, skąd odjeżdżały transporty na Zachód. Niestety, część Ślązaków spotkał o wiele gorszy los - zanim mogli liczyć na przymusowe przesiedlenie, trafiali do obozów pracy i obozów koncentracyjnych, ale to temat na osobny artykuł.

Z czasem proces ten ucywilizował się względem początkowego bestialstwa. Ludzie byli informowani o dacie transportu i limicie bagażu, zaletą od możliwości PKP organizującej skład. Tę falę migrantów nazwano w Niemczech Wypędzonymi (Heimatvertriebene). W Polsce częściej używa się określenia „wysiedleni” lub „przesiedleni”.

Jak tłumaczyła mi kiedyś prof. Małgorzata Ruchniewicz, zajmująca się tym tematem, najbardziej neutralnym terminem są „przymusowe migracje”.

Druga fala i wszystkie kolejne

Po 1950 roku proces wysiedleń ustąpił i unormował się. Górnolślązacy migrujący do Niemiec w późniejszych latach robili to już w sposób bardziej dobrowolny. Nikt nie bał się w urzędowe deportacje, choć trudno nazwać w pełni dobrowolną migrację kogoś, kto wyjeżdża z przekonaniem, że na Śląsku nie czeka go już nic dobrego, a może jakoś będzie w Niemczech.

Ruch graniczny trwał nieprzerwanie, ale wyraźne były trzy piki w drugiej połowie XX wieku. Wzmożenie nastąpiło w latach 70., następnie tuż po stanie wojennym, a prawdziwa eksplozja wyjazdów miała miejsce w latach 90., w dobie Jesieni Ludów.

Większość emigrantów wybierała Nadrenię Północną-Westfalię. Drugim popularnym kierunkiem była Bawaria (gdzie już w 1946 r. doszło do zablokowanej przez aliantów próby utworzenia pierwszego Związku Górnolślązaków). Choć początkowo te landy były narzuconymi celami przesiedleń, z biegiem lat stały się celem wyjazdów dobrowolnych. Powody przypominają dzisiejsze migracje uchodźcze z Ukrainy: Ślązacy jechali tam, gdzie była praca, gdzie ulokowano stolicę RFN (Bonn), gdzie było daleko od bloku wschodniego i gdzie mieszkali już inni rodacy. Zawsze rażniej na gotowej infrastrukturze - tak jak Ukraińcy wybierają dziś Warszawę czy Wrocław.

Do NRD trafiała mniejszość, głównie do 1960 roku. Część lądowała w Saksonii czy Brandenburgii ze względu na serce po lewej stronie lub chęci bycia bliżej hajmatu (wierzono, że zmiana granic jest tymczasowa). Jednak władzom NRD nie było na rękę posiadanie u siebie tylu Ślązaków. Zgodnie z planem Stalina wagony z Polakami miały trafiać w rejony oddalone o dwa, trzy dni jazdy, a nie kilka godzin od granicy.

Hajmatsztuba

Pierwsze, nieudane próby zrzeszania się Wypędzonych (Ślązaków, Prusaków, Niemców sudeckich, wielkopolskich, bałtyckich oraz rosyjskich) miały miejsce zaraz po wojnie. Dopiero od 1949 roku w Niemczech Zachodnich zaczęły powstawać legalne ziomkostwa. W 1950 r. utworzono ogólnofederalne Ziomkostwo Śląskie (Landmannschaft Schlesien), a równolegle - Ziomkostwo Górnośląskie, które argumentowało swoją odrębność różnicami kulturowymi. Obecnie Ziomkostwo Śląskie liczy ponad 200 tysięcy członków skupionych w 3,5 tys. grup terenowych.

Organizacje te podejmowały liczne inicjatywy: festyny, kiermasze, wydawanie pism i albumów. Jednak ważnym



Ilu Górnślązaków tak naprawdę mieszka w Niemczech?

elementem budowania tożsamości były wystawy poświęcone utraconej ojczyźnie - Heimatstuben.

Jak tłumaczył mi Adam Wojtala, pracownik Haus Schlesien w Königswinter, głównego ośrodka badań nad Śląskiem w Niemczech:

Heimatstuben, odnoszące się do byłych terenów wschodni-niemieckich, to amatorskie minimuzea, w których eksponuje się wszelkiego rodzaju pamiątki, które pochodzą z danego miasta lub regionu - najczęściej zdjęcia, mapki i naczynia.

Co istotne, placówek tych nie prowadzą profesjonalni historycy, lecz amatorzy - dawni mieszkańcy danego regionu lub ich potomkowie zrzeszeni w stowarzyszeniach (ziomkostwach). Dodatkowo w Niemczech funkcjonuje tzw. Patenschaft (od niem. Pate - ojciec chrzestny), co stanowi rodzaj patronatu miast zachodnich nad grupami wypędzonych. W praktyce oznacza to, że dane miasto w Niemczech (np. Kolonia) staje się opiekunem społeczności wypędzonych z konkretnego miasta na wschodzie (np. z Wrocławia). Miasto-patron zapewnia im warunki lokalowe oraz miejsce na ekspozycję zbiorów. Patenschaft może oznaczać również objęcie kuratelą nad zbiorami, co gwarantuje ich (nawet póżne) bezpieczeństwo (nawet w przypadku ewentualnego rozwiązania ziomkostwa).

Eksponaty były ograniczone możliwościami transportu ze Śląska, więc dominowały drobne pamiątki: pocztówki, fotografie, przedmioty codzienne. Czasem jednak udawało się pozyskać obiekty wyjątkowe, jak dzwon z kaplicy cmentarnej, który można podziwiać w Königswinter. Nie przywieziono go jednak w kofrach, a odnaleziono go na cmentarzysku dzwonów zarekwirowanych przez III Rzeszę na przetop. Szczęśliwym trafem uniknął zniszczenia i został zabezpieczony niedaleko Bonn.

Wiele?

Na terenie Niemiec Zachodnich utworzono łącznie 22 izby regionalne poświęcone miastom i powiatom Górnego Śląska. Dziś widzimy jednak wyraźny zmierzch tej formy kultuwowania tradycji. Wiele z nich zniknęło wraz z odchodzeniem pokolenia pamiętającego przedwojenny Śląsk.

Obecny stan tych placówek można podzielić na trzy kategorie:

Placówki rozwiązane

To najliczniejsza grupa. Połowa izb została zlikwidowana z powodu braku następców, pieniędzy lub lokalu. Zbiory te, zgodnie z prawem, trafiły do magazynów miast sprawujących patronat (Patenschaft). Do tej grupy należą izby reprezentujące:

- Gliwice (Gleiwitz)
- Strzelce Opolskie (Groß Strehlitz)
- Rybnik
- Tarnowskie Góry (Tarnowitz)
- Olesno (Rosenberg - dawna izba w Ratingen)
- Otmuchów (Ottmachau)
- Niemodlin (Falkenberg - zlikwidowano zarówno izbę miejską, jak i zbiory powiatu Falkenberg-Raum)
- Grodków (Grottkau - rozwiązano zbiory powiatowe i miejskie)
- Głubczyce (Leobschütz - jedna z dwóch placówek, Leobschützer Heimatstube, została rozwiązana).

Zbiory zintegrowane

Część kolekcji udało się uratować przed zapomnieniem w magazynach, włączając je w struktury profesjonalnych muzeów lub instytucji centralnych:

- Bytom (Beuthen) - zbiory przejęte i zmagazynowane w Muzeum Górnśląskim (Oberschlesisches Landesmuseum) w Ratingen.
- Katowice (Kattowitz) - zintegrowane z muzeum miejskim w Salzgitter (wcześniej w Museum Schloss Salder)

- Prudnik (Neustadt O.S.) - włączone jako Neustädter Zimmer do Heimatmuseum w Northeim

- Paczków (Patschkau) - zintegrowane z muzeum w Einbeck.

Placówki wciąż aktywne

Mimo upływu czasu kilka izb nadal funkcjonuje samodzielnie, pełniąc rolę kustoszy pamięci:

- Zabrze (Hindenburg) - kolekcja w Essen
- Opole (Oppeln) - Oppelner Heimatstube w Bonn
- Racibórz (Ratibor) - izba w historycznym Haus Ratibor w Leverkusen
- Nysa (Neisse) - Neisser Heimatmuseum w Hildesheim
- Bielsko-Biała (Bielitz-Biala) - izba w Lippstadt-Lipperode
- Głubczyce (Kreis Leobschütz) - aktywna izba powiatowa w Eschershausen.

Co dalej z izbami

Pokolenie najstarszych Wypędzonych odchodzi. Ich potomkowie oraz Ślązacy, którzy wyjechali później, nie noszą już w sobie traumy całkowitej utraty domu. Dla nich hajmat jest nadal osiągalny - wystarczy wsiąść w auto lub pociąg, by odwiedzić znajomych i sprawdzić, jak zmieniły się (lub nie) rodzinne strony. Temat izb pamięci wciąż jednak budzi w Niemczech emocje. Wszystkie 22 placówki - niezależnie od ich kondycji - nadal znajdują się tam, a nie tutaj. Wśród stowarzyszeń zaczynają jednak przeważać opinie, że te zbiory powinny wrócić na Śląsk. Tam ich rola się wyczerpała, a teraz to my na miejscu zajmujemy się dziedzictwem regionu. Niewykluczone, że ten moment właśnie nadszedł i za parę lat dożyjemy akcji powrotu hajmatsztub.

Za pomoc w powstaniu niniejszego artykułu serdecznie dziękuję Adamowi Wojtali



Marek Szoltysek, historyk, znawca Śląska

ZIMOWE GRACZKI ŚLONZOKÓW

Integer sapien tortor, consectetur vitae cursus sed, dignissim sit amet arcu. Nulla lmen Gdy jest śnieżna zima, to najpopularniejszą graczką, czyli zabawą nie jest kulanie, czyli lepienie bałwana albo ciepanie kulkami, czyli rzucanie śnieżkami - bo do tego potrzebny jest mokry śnieg, który bywa rzadko. Jeżdżenie na sankach może też skomplikować fakt, że niełatwo jest znaleźć konia na kulig albo ochotnika, by nasze sanki ciągnął. Górki zaś - choć mieszkamy na Śląsku Górnym - nie zawsze są w pobliżu. Najłatwiej więc na śniegu bawić się na powierzchni równej przez kiołzanie albo kiołzanie, czyli ślizganie. W tym celu wystarczą buty, które dla zwiększenia poślizgu możemy posmarować świeczką. To jednak jest ryzykowne, bo następnego dnia po zabawie świeczka dalej będzie działać i możemy się przewrócić i złamać nogę idąc na zakupy. Najlepiej jednak mieć szlindzuchy, szlindzuchy, szlindzuchy, szlindzuchy, ajkule lub ajkule, jak po śląsku mówi się na łyżwy. Dzisiaj łyżwy kupuje się w sklepach albo wypo-

życza na sztucznych lodowiskach. Dawniej jednak łyżwy najczęściej robiło się samemu w domu. Najprostszą formę łyżew robiono przez przybicie drutu do drewnianych pantofli - takich chodaków - które pełniły funkcję płożów. Najczęściej jednak wyginano odpowiednio grubą blachę nadając jej kształt litery „C” i tak konstruowane szlindzuchy przywiązywano paskami do szczeleków, czyli butów. Co bogatsi mieli szlindzuchy zwane holyndrami albo hokajerami. Miały one kształt ozdobnej litery „L” i przykręcało się je do specjalnej sztywnej podszewy buta przy pomocy klucza. Warto dodać, że dzisiaj prawie w ogóle nie widzi się na osiedlach dzieci grających w hokeja, co dawniej było zimą zjawiskiem powszechnym. Oczywiście, mało kto miał profesjonalny kij hokejowy lecz robiono go domowym sposobem z patyków, starych parasoli i kryk, czyli lasek od babci czy dziadka. Krążek natomiast wykonywano z kawałka drewna albo z grubej gumy z taśmą transportującą węgiel w kopalni, czego kawałki ojcowie

albo starsi bracia przynosili z szychty. To jednak nie koniec, bo na dawnym Śląsku nie brakowało też narciarzy, choć sprzęt narciarski w dzisiejszym rozumieniu praktycznie nie był znany. Żeby więc samemu zrobić sobie narty, trzeba było najpierw znaleźć w domu, w rodzinie albo u sąsiadów starą beczkę po kapuście kiszzonej. Bo kiedy ona się rozeszła i rozciekła, to jej klepki znajdowały jeszcze wiele zastosowań, przykładowo jako narty. A że beczki robił rzemieślnik zwany po śląsku - bednorzym, to narty z tej klepki zwano - bednorkami. Wystarczyło tylko do tych desek przybić gwoździem paski do wiązania butów i gotowe. Kijkami zaś były zwykłe patyki urwane w krzakach. Oczywiście do tych zimowych zabawek i zabaw trzeba było mieć chęci i zdrowie. Tak, zdrowie, bo dzisiejsze dzieci dowożone do szkoły autami i spędzające większość czasu w ogrzewanych a czasami przegrzewanych powieszeniach przed komputerami - nie dają rady wytrzymać bawienia się na mrozie zimową porą.



Unikalne zdjęcie pokazujące kiołzanie na szlindzucha zimową porą na zamrożniętej krzikopie w Jaśkowicach koło Orzesza w 1938 roku

KOPALNI NIENAWIDZIŁEM, ALE NIE ŻAŁUJĘ, ŻE ZOSTAŁEM GÓRNIKIEM

Do kopalni na Śląsku trafił m.in. Józef Janik, szewc z małopolskiej wsi. O nim i jego historii jest książka pt. „Po szychcie. Życie w cieniu przemysłu”, która na rynku wydawniczym pojawi się 13 stycznia. Oto jej fragmenty

Beata i Paweł Pomykałscy

Górnictwo towarzyszy człowiekowi od zarania dziejów. Już wiele tysięcy lat temu, w epoce neolitu, ludzie w Krzemionkach Opatowskich wydobywali krzemień, z którego wyrabiali narzędzia. W średniowieczu przyszedł czas na wydobywanie soli i srebra, a później - wraz z rozwojem cywilizacji - sięgano coraz głębiej pod powierzchnię ziemi.

Czarny i lśniący długo czekał na swój czas

Jednak długo nikt nie doceniał węgla. Leżał spokojnie w głębokich warstwach skorupy ziemskiej - czarny i lśniący - i czekał na swój moment. Gdy w końcu zrozumiano, jaką ma wartość, i odkryto jego potężne złoża, zaczęła się epoka przemysłu - gwałtowna, hałaśliwa, brudna i pełna dymu. A serce tej epoki miało być w Górnośląskim Okręgu Przemysłowym (GOP)*, jednym z największych skupisk przemysłu ciężkiego w Europie Środkowej. Przez miliony lat narastała się tu pokład ziemi, gromadziły się jej podziemne bogactwa. W perspektywie geologii współczesność to tylko mały ułamek dziejów Ziemi. Ale to w tym krótkim momencie, niemal w okamgnieniu, serce Górnego Śląska przeorano we wszystkich kierunkach.

GOP to przestrzeń bez szwów

Ta kraina to więcej niż tylko region: to przemysłowy żywioł, terytorium przekształcone przez człowieka jak żadne inne w Polsce. Pejzaż z lat największej industrializacji wyglądał tak: ziemia pofalowana, przekopana maszynami do głębi czarnych czeluści, z powierzchnią naznaczoną fundamentami hut, kopalni i wielu innych zakładów, pokryta gorejącymi hałdami i osnuta gęstym dymem. GOP



„Ta kraina to więcej niż tylko region: to przemysłowy żywioł, terytorium przekształcone przez człowieka jak żadne inne w Polsce”

rozciąga się na długości około 70 kilometrów i ma do 30 kilometrów szerokości, obejmując zwartą konurbację, która przez lata zrosła się w jeden wielki organizm. Nie sposób odróżnić granic między poszczególnymi miastami. Przyjeźdźni z zewnątrz się gubią. Nie wiadomo, gdzie kończy się Ruda Śląska, a gdzie zaczyna Bytom. Kiedy przenika on w Zabrze, a Zabrze w Gliwice? Park Śląski leży w Chorzowie, ale po drugiej stronie ulicy są już Katowice, miasto, w którym zbiegają się wszystkie nici po-

wiązań ekonomicznych i społecznych. Gdzieś obok leżą Świętochłowice, Siemianowice Śląskie, Mysłowice itd.

Kolorytu regionowi dodaje fakt, że przylepiono do niego też miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego: Sosnowiec czy Dąbrowę Górniczą. W tej ostatniej nadal działa wielki zakład o nazwie... Huta Katowice. Dlatego GOP to przestrzeń bez szwów - zlepiona z cegły, węgla i ciężkiej pracy. W latach 60., 70. i 80. XX wieku funkcjonowało tu ponad 70 kopalni węgla kamiennego, prze-



cie na jej powierzchni. Pod ulicami, polami, lasami i łąkami GOP-u istniał świat równoległy - świat pełen hałasu, brudu, gorąca, niebezpieczeństw, ale też niezwyklej solidarności. „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego” - to nie tylko pusty frazes. To sposób na przetrwanie. Gdy zjeżdżali na dół, musieli ufać sobie nawzajem. Tam, kilkaset metrów pod powierzchnią, nie było miejsca na różnice - tylko na pracę, odpowiedzialność za życie swoje i innych. Na powierzchni też nie zwalniano tempa. Nad miastami górowały kopalniane wieże i kominy, ostre linie przecinały horyzont, a niebo było zasnuwane dymem.

Ziemia drgała od detonacji

Ziemia drgała od detonacji, a powietrze pachniało pyłem i smarem. Tramwaje zgrzytały na zakrętach, huty pulsowały ciepłem, a ludzie szli „na kopalnię” lub wracali do domów z szycht. Cały region przeciętany został gęstą siecią torów kolejowych i tramwajowych, dróg, kanałów technologicznych, taśmociągów. Wszystko nieustannie pracowało.

Śląsk nigdy nie zastygł w bezruchu

Śląsk od ponad 300 lat jest pełen wigoru, nigdy nie zastygł w bezruchu. Także w czasie wielkich zmian politycznych, ekonomicznych i społecznych. Od lat 90. XX wieku Śląsk przechodzi głęboką transformację. Większość kopalni została zamknięta. Hut już prawie nie ma. Chociaż wiele dawnych zakładów pracy popadło w ruinę, niektóre z nich zyskały nowe życie jako obiekty kultury - jak KWK Katowice zamieniona w nowoczesną Strefę Kultury z Muzeum Śląskim, NOSPR i Spodkiem. Elektrociepłownia Szombierki czeka na drugą szansę, KWK

Walka o czarne złoto w ciemnych chodnikach

Rytm życia wyznaczały tu maszyny - warczące wrębarki i kombajny, potężne dźwigi, stalowe koła szybów wyciągowych nieustannie nawijające i odwijające liny z głębin ziemi. W ciemnych chodnikach, gdzie błyskały lampy przy hełmach górników, trwała bezustanna walka o czarne złoto. Każda zmiana, każda szychta była częścią gigantycznego mechanizmu. To, co działo się pod ziemią, miało bezpośrednie przełożenie na ży-

Wieczorek staje się przestrzenią dla artystów. Sztuka na Górnym Śląsku jest fascynująca i wielowarstwowa. Trochę jak pokłady węgla. Katowice i Gliwice inwestują w IT, nowe technologie, startupy.

Górny Śląsk to wciąż powstająca epopeja

Śląsk znów przechodzi rewolucję. Buduje swoją tożsamość i po okresie zawstydzienia robotniczą przeszłością kształtuje poczucie dumy z unikatowej kultury i dziedzictwa. Na początku tej drogi przeszkadzały nam wielkie zakłady przemysłowe. Dziś już wiemy, że to nieodłączny element pejzażu tej krainy, który zasługuje na ochronę. Górny Śląsk to nie zamknięty rozdział, lecz wciąż powstająca epopeja. Każda dekada dopisuje coś nowego: inną narrację, inny krajobraz, inną gospodarkę. Ale pod tym wszystkim – pod nowymi osiedlami, drogami ekspresowymi, nowoczesnymi biurkami – wciąż bije serce przemysłowej historii. To serce bije bardzo mocno i sprawia, że Górny Śląsk aż kipi niesamowitą energią.

Józef zostaje „werbusem”

W drugiej połowie lat 50. XX wieku Józef Janik osiąga pełnoletność, a to oznacza poważne decyzje. Trochę dorabia jako szewc, trochę pomaga w gospodarstwie i cały czas szuka pomysłu na swoją przyszłość. Jednego jest pewien: z kawałka poletka, jakie ma jego rodzina, na pewno wszyscy się nie utrzymają. Daje o sobie znać dramatyczne przedłużenie małopolskiej wsi i rozdrobnienie ziemi. A pierwszeństwo do czegośkolwiek i tak mają dwaj starsi bracia. I wtedy zauważa, że ktoś do drzewa przybija ogłoszenie. Już takich ludzi kiedyś tu widział. Od kilku lat jeździli po całej okolicy i werbowali do pracy w śląskich kopalniach. Obiecywali pieniądze i dach nad głową. Stabilizację i wygodne życie, na co u siebie raczej nie miał widoków. Szansę na awans społeczny i uwolnienie się od gęby biednego galicyjskiego chłopca małopolskiego. Wkrótce więc Józef zostaje „werbusem” i przenosi się na Górny Śląsk. Dzieli los dziesiątków tysięcy przybyszów z różnych stron Polski. Czterdzieści pięć lat później Józef powie, że podjęta w młodości decyzja była dobra.

Pomimo tego, że pracy w kopalni nienawidził całym sercem i że w dniu przyznania mu prawa do emerytury postanowił, że już nigdy nie zjedzie na dół. Przyznał jednak, że wybrał dobrze. Że ma wygodne mieszkanie i ukochaną działkę, że córce dał lepsze wykształcenie i ogólnie lepszy start. Że nie żałuje tego kroku. Rok później usłyszy diagnozę: rak krtani z przerzutami do płuc. Po kolejnym roku umrze, mając zaledwie 66 lat.

Kopalnia wystawiła mu wysoki rachunek

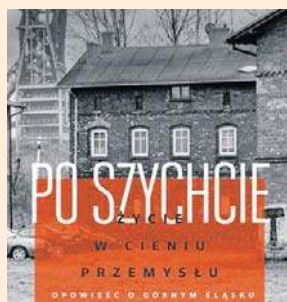
Kopalnia dużo mu dała, ale i wystawiła wysoki rachunek. Tak jak wielu ludziom związanym z przemysłem ciężkim. Nim odszedł, zdążył opowiedzieć, jak stał się częścią wielkiej powojennej migracji na Górny Śląsk i jak jego osobiste przeżycia wpisały się w historię pokolenia.

– Na Śląsk przyjechałem dokładnie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym roku, miałem dwadzieścia lat. Wszystkie chłopaki ze wsi wtedy tu przyjeżdżali. Nie było roboty u nas w mieście, na wsi też niewielu chciało zostawać. Ja skończyłem zawodówkę, byłem szewcem tak jak ojciec i dwaj bracia. I zawsze nam brakowało pieniędzy. Dom był mały, raptem dwie izby, kuchnia i warsztatik ojca. Ubikacji nie było, jedynie wychodek kilka metrów od domu. „Majątek” rodzinny stanowiła jeszcze mała stajnia i kilka zwierząt hodowlanych. To wszystko. Ziemi mieliśmy kawałek, tak jedynie na własne potrzeby. Starszy brat ożenił się i wyjechał do Krakowa. Ja miałem przed sobą wojsko, robotę w polu i przy butach. A i to niepewne. Postanowiłem więc uciec, tak jak koledzy, na Śląsk. Mówiono, że w ciągu dwóch lat roboty w kopalni można odrobić służbę wojskową. Spakowałem się i pojechałem. Tylko Zosi, wtedy jeszcze mojej narzeczonej, obiecałem, że jak tu będzie dobrze, to ją raz-dwa ściągnę.

– Raz-dwa? Udało się to zrobić zgodnie z obietnicą? – Z tym raz-dwa to nie było tak łatwo, w sumie cały proces zajął mi kilka lat. Jeździłem na wieś regularnie, tam wzięliśmy ślub, potem tam urodziła się twoja mama i dopiero jak ona miała trzy lata, to udało mi się je ściągnąć. – Od razu po przyjeździe dostałeś pracę? – Tak, przyjechałem w ciemno. Wysiadłem w Katowicach i od razu zacząłem szukać roboty. Niestety w punkcie informacji dowiedziałem się, że tutaj to już nic nie znajdę, że nigdzie nie zatrudniają i żeby jechać do Bytomia. I tu udało mi się bez problemu. Od razu mnie wzięli. Dostałem skierowanie do Kopalni Miechowice. Ciężko było jak diabli. Na początku byłem zwykłym ładowaczem, takim trochę...

– „Przynies, wynies, pozamiataj”? – O, dokładnie. Takim od wszystkiego. Na dół zjeżdżaliśmy szybem wentylacyjnym, wiało tam niemiłosiernie i było potwornie wilgotno. Wiecznie byłem przeziębiony. Mieszkaliśmy z czterema chłopakami w jednym pokoju w baraku, który nazywali hotelem robotniczym. Wytrzymałem rok i przeniosłem się do Siemianowic Śląskich. Tam mnie dopiero porządnie przeszkolili i zacząłem pracować jako młodszy górnik. Niewiele później przeszedłem kolejne szkolenie i zostałem już normalnym górnikiem.

W sześćdziesiątym pierwszym roku miałem już odrobioną służbę wojskową, ale płaca była tak dobra, że nie było po co wracać na wieś. Wiedziałem, że zostanę. Zgłosiłem się wtedy do Ośrodka Szkolenia Zawodowego w Chorzowie. W tym czasie wszędzie było głośno o budowie nowej kopalni w Knurowie-Szczygłowicach, gdzie miało też powstać nowe osiedle. Jeszcze półtora roku przepracowałem w Siemianowicach i potem przeniosłem się do Szczygłowic. Hotel robotniczy, w którym się zakwaterowałem, był nieporównywalnie wygodniejszy od poprzedniego. Mieszkaliśmy po dwie, trzy osoby w pokoju, łazienka była jedna na kilka osób, a nie na dwadzieścia, a do tego budynek był ocieplony. Złożyłem też wniosek o przydział na mieszkanie. Złożyłem i zacząłem czekać.



Po szczyłcie. Życie w ciemni przemysłu. Opowieść o Górnym Śląsku
Beata i Paweł Pomykałscy
Premiera: 13/01/2026
Wydawnictwo: Bezdroża
Liczba stron: 208
Druk: oprawa miękka

O AUTORACH:

Beata i Paweł Pomykałscy – duet w pracy i życiu, skutecznie łączący obowiązki zawodowe z zainteresowaniami. Podróżnicy, autorzy przewodników krajoznawczych i książek podróżniczych. W ramach promocji dziedzictwa kulturowego współpracują z różnymi instytucjami, organizacjami i samorządami, wygłaszają prelekcje podróżnicze i wykłady. Z urodzenia i wyboru związani z Górnym Śląskiem, któremu poświęcają szczególnie dużo uwagi. Specjalizują się w Bałkanach Zachodnich, Niemczech, Czechach i we Włoszech. Uwielbiają duże miasta i metropolie, pełne ciekawych historii, wspaniałych zabytków, wielkiej sztuki i niebanalnych postaci. Prowadzą blog Adventum - Konkretnie o podróżach, profil na Facebooku o tej samej nazwie, a także konto na Instagramie: @beatapomykalska.

PAŁAC MIEROSZEWSKICH CAŁKIEM JAK NOWY

Muzeum Zagłębia w Będzinie szykuje się do świętowania kamiennego jubileuszu swojego istnienia

Piotr Sobierajski

Pprzedwczoraj, 7 stycznia, po raz pierwszy po dłuższej przerwie można znów było zwiedzić wnętrza Muzeum Zagłębia. Zakończyła się modernizacja i remont jego pomieszczeń Pałacu Mieroszewskich, głównej siedziby Muzeum Zagłębia. Na ten projekt miasto pozyskało z budżetu województwa śląskiego 262 tys. zł. Zakres prac objął aż czternaście kluczowych pomieszczeń, w tym reprezentacyjny hall z główną klatką schodową, korytarz parteru, boczną klatkę schodową, kawiarnię, salę przygotowania wystaw z przedśionkami oraz liczne sale ekspozycyjne i klatki schodowe pierwszego piętra – przestrzenie stanowiące wizytówkę całego obiektu.

Po odpowiednim przygotowaniu powierzchni pomieszczenia zostały pomalowane. Prace objęły również utylizację odpadów, demontaż drewnianych osłon grzejnikowych oraz końcówce, dokładne umycie wszystkich pomieszczeń, aby mogły ponownie przyjąć mieszkańców i gości.

Muzeum Zagłębia w Będzinie powstało w 1956 roku, tak więc w tym roku będzie świętować swoje 70-lecie. Barokowo-klasycystyczny pałac w Będzinie - Gzichowie, wzniesiony został po 1702 roku jako symbol pozycji i rangi rodu Mieroszewskich w Księstwie Siewierskim, jest typową XVIII-wieczną siedzibą szlachecką wzorowaną na pałacach francuskich.

Po renowacji w 1958 r. obiekt przeznaczony został na Dom Kultury Dzieci i Młodzieży. Rolę tę pełnił do lat 70. Dyrekcja Muzeum w Będzinie wspólnie z wojewódzkim konserwatorem zabytków od połowy lat 60. czyniła starania o zmianę jego funkcji i rozpoczęcie kompleksowej konserwacji całego zespołu pałacowo-parkowego.

W marcu 1982 roku po latach starań i prac prowadzonych przez pracownię konserwacji zabytków w Krakowie Muzeum Zagłębia w Będzinie zaprezentowało na otwarciu



Barokowo-klasycystyczny pałac miał być symbolem pozycji rodu Mieroszewskich w Księstwie Siewierskim



Zabytek został odnowiony zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz

pałacu stylowe XVIII i XIX-wieczne wnętrza.

Do 31 marca w Muzeum Zagłębia obowiązują zimowe godziny odwiedzin: we wtorki w godz. 10-17, w środy w godz. 9-17, w czwartki w godz. 12-18, w piątki i w soboty w godz. 10-18, w niedziele w godz. 9-17. W poniedziałki muzeum jest nieczynne.

Przypałacowy park w okresie zimowym jest czynny do godziny 20..

Muzeum Zagłębia przypomina, że w odnowionych, klimatycznych wnętrzach pałacu, a także w malowniczym przypałacowym parku istnieje możliwość organizacji odpłatnych wydarzeń prywatnych i biznesowych, a także uroczystości rodzinnych, takich jak śluby i ceremonie, urodziny, kameralne kolacje we dwoje, bankiety, pikniki, okolicznościowe sesje zdjęciowe. ©P

ZAKŁADAM PERUKĘ I PRZENOSZĘ S

W pracowniach Teatru Rozrywki w Chorzowie powstają kostiumy szyte na miarę i według projektu. Wszystko to ręczna robota pasjonatów krawiectwa, prawdziwych mistrzów igły, wręcz

Klaudia Bąk

Kostiumy teatralne przygotowywane są nadal w sposób tradycyjny. Aktorskimi kreacjami w chorzowskim Teatrze Rozrywki zajmuje się sztab innych artystów - pasjonatów krawiectwa. Wszystkie stylizacje wykonywane są ręcznie, opracowywane od samych podstaw aż do finalnego projektu. Największe wrażenie robią chyba peruki. Dzięki nim mogą zmienić się w gwiazdę rocka, barokową księżniczkę, a nawet zostać Mią Wallace z Pulp Fiction. Jak to mówią: „Sky is the limit”.

Miałam okazję zajrzeć do garderób artystów. Jedna większa od drugiej. Wypełnione były baśniowymi, barwnymi i szalonymi kostiumami. Suknia z kart, marynarka pokryta przeróżnymi dziełami sztuki i cekiny, wszędzie cekiny. Do tego wszędzie porozwieszane szkice kolejnych, zadziwiających kreacji, które przypominają o gęsią skórę... Bufiaste rękawy, koronki, kokardy, gotyckie suknie i wiele innych małych dzieł sztuki. To nie tylko odzież, to prawdziwy artyzm - niesamowite owoce ciężkiej pracy krawców.

Sekrety scenicznej dekoracji

Ogromne, ciężkie meble, kolorowe, szklane witraże, mosiężne schody. Jaki jest sekret scenicznych dekoracji? Nie mogą być zbyt ciężkie, bo nikt nie wspominał o Pudziańskim na etacie... Wyglądają monumentalnie, ale gdy podchodzę bliżej i je dotykam, ze zdumieniem stwierdzam, że ważą niewiele. Wykonane są z materiałów trwałych, ale bardzo lekkich, sprawiają wrażenie prawdziwych. Elementy scenografii są regularnie malowane i odnawiane, mogą więc służyć latami.

Teatr Rozrywki wyrósł ze śląskiego uporu

Teatr Rozrywki wyrósł z ambicji, pasji i... odrobiny śląskiego uporu. Jego początki sięgają 1976 roku, gdy w dawnym hotelu Graf Reden (przerobionym na Dom Kultury Huty Kościuszkowej) narodził się Music-Hall. Nie był to jeszcze teatr w pełnym tego słowa znaczeniu, raczej obietnica miejsca, w którym muzyka i sztuka aktorska będą sobie równe. Budynek dopiero adaptowano, więc pierwsze widowiska wysta-



FOT. KARINA TROJOK



FOT. KARINA TROJOK



FOT. KARINA TROJOK

wiane były na scenach gościnnych.

Dopiero 1 stycznia 1985 roku instytucja oficjalnie otrzymała status Państwowego Teatru Rozrywki i trafiła pod nadzór Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach. Lata 2006-2007 to gruntowna modernizacja całego kompleksu, inwestycja wspólna Urzędu Marszałkowskiego i miasta Chorzów. Metamorfiza teatru została doceniona: nagroda marszałka województwa za „Modernizację Roku”,

Grand Prix wojewody w konkursie „Architektura Roku 2009”, a do tego tytuł „Wnętrza Roku” dla klubowych przestrzeni Jazz Cafe TRATATA. Teatr Rozrywki stał się symbolem kulturalnego Chorzowa.

Na umowę o pracę zatrudnionych jest tu przeszło 200 osób. Uzupełnieniem stałej obsady są artyści współpracujący na umowę zlecenie lub o dzieło, a także wykonawcy występujący gościnnie, zapraszani do konkretnych produkcji. W wielu przypadkach or-

ganizowane są castingi, szczególnie wtedy, gdy reżyser poszukuje nowych twarzy lub określonego typu scenicznego. Zdarza się jednak, że reżyserzy mają w głowie gotową wizję, opartą na znajomości zespołu lub wcześniejszych realizacjach.

Bilety na „Koty” idą jak ciepłe bułeczki

Wśród tytułów cieszących się największą popularnością znajduje się m.in. musical „Koty”, na które bilety roz-

chodzą się wyjątkowo szybko. Co mnie zupełnie nie dziwi, ogromnym zainteresowaniem publiczności cieszą się także spektakle kabaretowe. Na chorzowskiej scenie występowały wielkie gwiazdy: Milva, Buła Okudźawa, Hanna Schygulla, Michał Barysznikow, Ewa Demarczyk, Michał Bajor.

Janda, Stuhr i Młynarski na śląskich salonach

Z ciekawostek celebryckich: zwiędziałam pomieszcze-

nie, które wiele lat temu było Twitterem i Instagramem tamtych czasów. Przestrzeń, która niegdyś tętniła życiem, nadal pamięta plotki, długie rozmowy, wypite drinki i wypalone papierosy wielkich gwiazd polskiej sceny. Pisząc o gwiazdach, mam na myśli m.in. Krystynę Jandę, Wojciecha Młynarskiego czy Jerzego Stuhr. Przyjeżdżali na śląskie obiady i pogawędki prosto z Warszawy. Można było tam odetchnąć od tego całego stołecznego zgiełku...

SIE W INNY ŚWIAT

Ile wyszukanych projektów scenografów. z artystów. Odwiedziła ich reporterka DZ



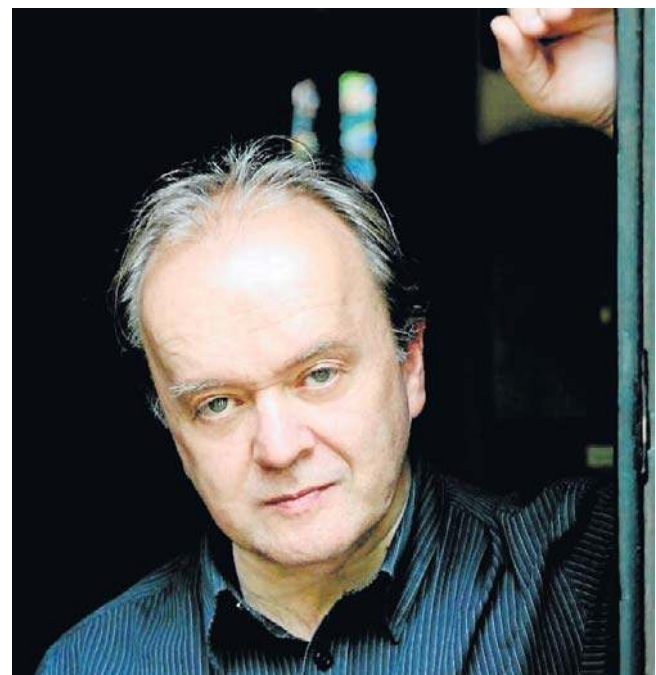
FOT. KARINA TROJOK

FOT. KARINA TROJOK

WIECZORY Z KOŁĘDAMI

Na głos i niezwykłe instrumenty, jak lira korbowa, fidel kolanowa, eufonium czy harfa. Pod patronatem „Dziennika Zachodniego”

Jolanta Pierończyk



WIKTORIA HUBNER

**Prof. Henryk Jan Botor, dyrektor artystyczny TWK:
Dla mnie każda edycja Wieczorów to swoiste święto**

Inauguracja, jak zwykle, w kościele bł. Karoliny w Tychach. Będzie to koncert pt. „Idźcie z tym, co macie” w wykonaniu Grażyny Łobaszewskiej zwanej polską Arethą Franklin. Początek o godz. 17.30 w najbliższą niedzielę, 11 stycznia. Będzie to inauguracja XXXV Tyskich Wieczorów Kołędowych, które potrwają do soboty, 17 stycznia. Wstęp wolny na wszystkie koncerty.

W poniedziałek o godz. 19 w tym samym kościele bł. Karoliny rozpocznie się koncert „Podziękujmy Jezuskowi - góralskie kołędowanie” Hani Małaciny-Karpiel i zespołu Podholańscy Muzykanci.

Wtorkowy koncert odbędzie się w kościele Ducha św., który zaprojektował słynny architekt Stanisław Niemczyk, zaś polichromia w tej świątyni jest dziełem Jerzego Nowosielskiego. O godz. 19 rozpocznie się tu rodzinne kołędowanie Aleksandry i Piotra Steczków oraz ich dzieci Hanny (skrzypaczka) i Łukasza, który zagra na trąbce i perkusjonaliach. Piotr Steczek będzie grał na skrzypcach i instrumentach orientalnych, Aleksandra Steczek - na wiolonczeli. Kołędy usłyszymy w wykonaniu Justyny Bujak (sopran).

Środowy koncert o godz. 19 odbędzie się w kościele Matki Bożej Królowej Aniołów w Wilkowicach. Zatyłowany jest „Kołęda w blasku blachy”, a wykoną go Power of Brass Quintet.

15 stycznia, w czwartek, o godz. 18 w kościele ewangelickim rozpocznie się bardzo ciekawy koncert pt. „Pastorałki renesansowej Europy” w wykonaniu Collegium Clara Tumba. Jest to zespół muzyki dawnej. Usłyszymy i zobaczymy takie dawne instrumenty, jak viola da gamba, fidel kolanowa czy lira korbowa. Będą też flety i harfa oraz instrumenty perkusyjne. Kołędy zaśpiewa sopranistka koloraturowa Annika Mikołajko-Osman.

Piątkowy wieczór należał będzie do laureata Ogólnopolskiego Konkursu Chórów XXXIV Tyskich Wieczorów Kołędowych. W kościele św. Benedykta o 19.30 wystąpi Chór La Musica z Lublina pod dyr. Karoliny Filipczak-Sulimy. Koncert zatyłowany jest

„Adeste Fideles - Chór La Musica w blasku kołęd”.

W sobotę, 17 stycznia, o godz. 9 w Zespole Szkół Muzycznych im. F. Rybickiego w Tychach przy al. Niepodległości 53 rozpoczyna się przesłuchania II etapu Ogólnopolskiego Konkursu Chórów XXXV Tyskich Wieczorów Kołędowych. Laureaci zaprezentują się w pierwszej części koncertu finałowego, który zaplanowany jest na godz. 15.30 w bazylie św. Marii Magdaleny.

Drugą część tego ostatniego wieczoru wypełni koncert kołędowy w aranżacji Henryka Jana Botor pt. „Et in terra pax hominibus bonae voluntatis” (A na ziemi pokój ludziom dobrej woli). Usłyszymy Akademicki Chór Politechniki Śląskiej (przygotowany przez Tomasza Giedwiłłę) oraz Aukso Orkiestra Kameralna Miasta Tychy. Będą też soliści: Joanna Spandel - sopran, Piotr Rachocki - tenor oraz Dawid Biwo - bas/baryton. Na trąbce zagra Antoni Adamus, na organach i pozytywie organowym - Michał Botor, na flecie - Katarzyna Pudełko, na oboju - Krzysztof Wagstyl, na fagocie - Wojciech Front, na trąbce - Krzysztof Laksa, na puzonach Tomasz Przybylski i Patryk Broda, na harfie - Anna Scheller, na perkusji - Mateusz Misiak.

Całością dyrygować będzie Henryk Jan Botor, dyrektor artystyczny Tyskich Wieczorów Kołędowych.

W programie koncertu galowego jest zawsze poza bożonarodzeniową, którą w przeszłości czytali m.in. aktorzy August Kowalczyk i Paweł Drzewiecki, a tym razem usłyszymy ją w wykonaniu Andrzeja Warcaby, aktora Teatru Śląskiego.

Jest to już 35. edycja Tyskich Wieczorów Kołędowych, które wymyślił i do 2013 r. prowadził Janusz Muszyński (zmarł 17 listopada 2013 r. w wieku 66 lat). Od 2014 r. dyrektorem artystycznym tego festiwalu jest Henryk Jan Botor, tyszanin, profesor Akademii Muzycznej w Krakowie.

- Janusz preferował głównie opracowania choralne kołęd, a ja chciałem też sięgać do innych gatunków, muzyki rozrywkowej czy jazzu. Z tym zastrzeżeniem, żeby był to repertuar kołędowy, ewentualnie z drobnymi, czasem, odstępstwami. Dla mnie każdy rok i każda edycja Wieczorów to swoiste święto. Wspaniałe bożonarodzeniowe i kołędowe święto - powiedział prof. Henryk Jan Botor na łamach tyskiego miesięcznika pt. „Ramy kultury”.

XXXV Tyskim Wieczorom Kołędowym patronuje redakcja „Dziennika Zachodniego”.

PIEKŁO NA ZIEMI. W BĘDZINIE NAZIŚCI TEŻ NIE MIELI LITOŚCI

Historia pisze różne scenariusze. Ten związany z losami ludności żydowskiej w czasie II wojny światowej jest wyjątkowo bolesny. O więźniach Ha-Ga Lagischa Auschwitz w Będzinie słyszało dotychczas niewielu. Trwają starania, by uhonorować to miejsce

Piotr Sobierajski



Adam Szydłowski przy jednym z zachowanych do dziś obozowych słupów

Nazistowska machina działała bezwzględnie, a jednym z mniej znanych do dziś świadectw tych okrutnych czasów jest podobóz Auschwitz Ha-Ga Lagischa, utworzony przez Niemców na początku września 1943 roku w Będzinie-Łagiszy. Ta historia zasługuje na upamiętnienie, a stara się o to zadbać Adam Szydłowski, badacz dziejów żydowskich w Zagłębiu i prezes Fundacji im. Rutki Laskier.

4 września 1939 roku Niemcy wkroczyli do Będzina i rozpoczęły się represje wobec ludności żydowskiej. Od momentu, kiedy powstała organizacja Szmelt, skupiająca pracowników dla gospodarki niemieckiej, w Będzinie-Łagiszy powstały drewniane baraki znane z Auschwitz-Birkenau.

W 1941 roku hitlerowcy rozpoczęli przygotowania do budowy elektrowni „Walter” w Łagiszy. Powstaje tu duży obóz pracy dla Żydów z Będzina i Oświęcimia, którzy przyjechali w 1941 roku w to miejsce transportami kolejowymi. Organizacja Szmelt wykonuje przeróżne prace. Zajmuje się regulacją rzeki Przemszy, pracami porządkowymi. To byli pracownicy przymusowi. Budowę w 1942 roku finansował związek pod nazwą „Energie-Versorgung Oberschlesien” z dyrekcją w Katowicach. Fachową siłę roboczą okupanci sprowadzili z elektrowni w Będzinie, natomiast prace budowlane prowadziły firmy „KLOTZ” i „HAGA”. W sierpniu 1943 roku nastąpiła likwidacja getta w Będzinie. Niemcy zamykają też działalność tego obozu Szmelt. Nic nie może jednak się zmarnować. Wewnątrz ogrodzonego terenu wybudowane zostały potem murowane baraki, jako pomieszczenia mieszkalne dla więźniów, magazyny, kuchnia, łazienka oraz szpital obozowy. Na tym terenie znalazł się również basen przeciwpożarowy, natomiast za ogrodzeniem stały strażnice.

Te cztery zachowane baraki przy ulicy Energetycznej stanowiły zaplecze do budowy elektrowni „Walter”. Dzisiaj to miejsce jest symbolem tego, co działo się na naszych ziemiach w przeszłości. Znajdują się tu artefakty, które świadczą o istnieniu obozu Ha-Ga Lagisza, czyli podobozu Auschwitz, gdzie komendantem głównym był Rudolf Hess. W tym miejscu zachowane zostały obozowe słupy, częściowo przeniesione. Po wojnie mieszkańcy wykorzystywali je do różnych celów. Wywożono je do budowy własnych ogrodzeń lub rozbijano i uzyskiwano beton, ale część z nich przetrwała. Są dobrze zachowane – mówi Adam Szydłowski, badacz dziejów żydowskich w Zagłębiu. Fundacja im. Rutki Laskier wysłała pismo do konserwatora

zabytków w Będzinie, otrzymując odpowiedź, że zaprasza ich do współpracy, do dokumentacji tego miejsca, którą trzeba będzie wykonać. - Wyobrażam sobie, że po renowacji tych słupów, którą będzie trzeba wykonać, a są firmy, które się tym zajmują, powstanie tu specjalna instalacja. Taka, która będzie przypominać o tym, co się tutaj działo - podkreśla Adam Szydłowski.

Datę utworzenia podobozu można ustalić na podstawie faktury (Forderungsnachweis), którą we wrześniu 1943 r. obozowe biuro zatrudnienia wystawiło dyrekcji elektrowni „Walter” Łagisza. Z jej zapisów wynika, że pierwszych 302 więźniów zatrudniono przy budowie elektrowni 10 września. Z uwagi na poprzedzający tę datę weekend uznaje się, że obóz utworzono 8 września 1943 roku.

Pierwsi więźniowie przybyli do podobozu Łagisza 10 września 1943 roku. Z zestawienia więźniów oddelegowanych do pracy we wrześniu dowiadujemy się, że wykwalifikowanych robotników zatrudnionych przy budowie elektrowni „Walter” było 44, natomiast liczba robotników niewykwalifikowanych wahała się między 252 a 258.

Różnice mogły występować z uwagi na pobicia czy choroby uniemożliwiające pracę, ale też skierowanie do pracy wewnątrz obozu, do prac porządkowych, organizacyjnych czy na potrzeby załogi SS. Prywatne firmy, które otrzymywały siłę roboczą z obozu Auschwitz, płaciły odpowiednio 4 marki za dniówkę pomocnika i 6 marek za dniówkę fachowca (stawki po 1943 r.). Pieniądże trafiały bezpośrednio do władz obozu.

- Do budowy elektrowni „Walter” Niemcy ściągają więźniów obozu z Oświęcimia i Mönchengladbach, tworząc obóz Auschwitz Ha-Ga. Ogólnie mamy tutaj 1000 więźniów. To Żydzi, więźniowie polityczni z Niemiec, Włosi, mieszkańcy Bałkanów, Francuzi i Polacy. Mieszkańcy Łagiszy pracują natomiast w biurach przy budowie. Żydzi pozbawieni są jakichkolwiek praw, nie dostają żadnych paczek. Przez rok czasu funkcjonuje tutaj ten podobóz Auschwitz, z wszystkimi represjami, które znamy z Oświęcimia. Poza jedną - nie było tutaj pieców i krematoriów. Były dwa bunkry, w których zamęczano i dręczono więźniów, nie dawano im jedzenia - mówi Adam Szydłowski. Kiedy więzień zmarł lub został zastrzelony, wówczas ciało trafiało do osobnego baraku. Przyjeżdżał specjalny furgon z Auschwitz, który zabierał ciała, by spalić je w piecach Auschwitz. Co ciekawe, posiłki dla więźniów Ha-Ga Łagisza także przywożone były z Oświęcimia. Horst Czerwiński, z za-

wodu rzeźnik, został kometantem obozu Ha-Ga Łagisza. - Jego postać jest w dwójnasób odbierana. Znał język polski. Część osób go chwaliła, część nie. To wszystko zależy od sytuacji. Był jednym z pierwszych 15 więźniów, więc awansował w hierarchii tej niemieckiej maszyny śmierci. Jest jeszcze jedna ważna osoba - Hans Bock. Też był jednym z pierwszych 15 więźniów. Był tą osobą, która podała potem zastrzyk śmierci ojcu Maksymilianowi Kolbe. Co się z nim stało? Tutaj podobno nie był zbyt surowy. Tu zachorował i zmarł. Kiedy jego ciało było wieszane do Auschwitz, to ponoć więźniowie zdejmowali czapki z głów. Nie tyle w obawie, ile w geście honorowym - mówi badacz dziejów zagłębiowskich Żydów.

Jak wynika z zachowanych relacji, więźniowie podobozu Łagisza traktowani byli przez strażników SS wyjątkowo okrutnie. W opisach powtarzają się często sceny znęcania się nad więźniami, bicia ich kijami i kolbami karabinów, wpędzania do basenu przeciwpożarowego na placu apelowym i spychania w wodę tych, którzy usiłowali wydostać się na brzeg. Stan załogi wartowniczej wynosił nieco ponad 30 esesmanów. Najwyższy stan osobowy - 725 więźniów - obóz osiągnął w sierpniu 1944 roku.

W 35-osobowej obsłudze Haga Łagisza przeważała narodowość chorwacka, są volksdeutsche, kilku Ukraińców i Niemcy. - Dzięki znakomitej współpracy z Archiwum Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau pozyskaliśmy kopię rozkazu personalnego z 13 grudnia 1943 roku. Dowiadujemy się z niego, że volksdeutsche rekruci z Węgier, którzy w VI kompanii odbyli krótkie szkolenie, jak również reszta tej kompanii, zostają przydzieleni do poszczególnych jednostek. Wykaz załogi SS skierowanej do Łagiszy zawiera 35 nazwisk - mówi Adam Szydłowski.

- Tu działo się wszystko to, co w Auschwitz-Birkenau. Były te słynne przebieżki do lasu, które pojawiają się w zeznaniach świadków. Mówią, że Niemcy urządzali biegi, kto do lasu szybciej dobiegnie, a do tego oczywiście do tych więźniów strzelali. Więźniowie nosili też kamienie nad głowami, kiedy wracali z pracy, musząc chodzić wokół obozu. Wszystko odbywało się pod płaszczykiem budowy elektrowni „Walter” - dodaje.

**POMNIK PAMIĘCI WIĘŹNIÓW
OBOZU KL AUSCHWITZ III
W ŁAGISZY ZOSTAŁ ODSŁONIĘTY
1 WRZEŚNIA 1989 R. Z INICJATYWY
I FUNDUSZY ELEKTROWNI ŁAGISZA**



Tak baraki podobozu Ha-Ga Łagisza w Będzinie wyglądały w 1964 roku. Na tym terenie znalazł się m.in. basen przeciwpożarowy, za ogrodzeniem stały strażnice

Oto relacja mieszkanki Łagiszy Anieli Gwoździowskiej, która była pracownikiem cywilnym elektrowni Walter. „Prowadzili więźniów w pobliżu głębokich rowów kanalizacyjnych 2 x 2 m. Gdy znajdowali się już w pobliżu, SS-mani zaczęli bić więźniów i pędzić ich na rowy. W trakcie skoków wpadali do środka, a który chciał wyjść, bili i spychali do środka. Najwięcej znęcali się nad Żydami. Gdy w czasie noszenia z nami drzewa budowlanego przewracali się z głodu pod jego ciężarem, kapo kopali więźniów, gdzie dosięgli, i bili gorzej niż bydło”. Dzienna racja żywieniowa to było: pół litra kawy, w południe 1,2 litra zupy z brukwi lub kapusty, a wieczorem 1,6 dkg margaryny i 20 dkg chleba. Kontrole wykazywały, że mimo bardzo małych porcji więźniom zmniejszano dawki żywieniowe.

Obóz w Łagiszy funkcjonował do października 1944 roku. Inna sytuacja była już na froncie wschodnim. Niemcy zrezygnowali z budowy elektrowni w tym miejscu i przenieśli swoje plany do Jaworzna. Więźniowie zostali z Łagiszy przetransportowani do Oświęcimia albo do budowy elektrowni „Wilhelm” w Jaworznie. Dlaczego wybrano Łagiszę na obóz? Bo była położona, jak cały Będzin, w dobrym węzle komunikacyjnym. Była tu dobra infrastruktura kolejowa. - Mieszkańcy Łagiszy, co znalazło potwierdzenie w dokumentach, do których oświadczenie dotarłem, bo teraz pracujemy wspólnie z Muzeum Auschwitz-Birkenau, wiele-

krotnie pod groźbą śmierci porzucali więźniom jedzenie. Czasem kończyło się to wpadką i wywózką do Auschwitz - opowiada Adam Szydłowski. W październiku 1944 roku, po wyjeździe stąd więźniów, powstał tu obóz karny dla niepokornej obsługi Auschwitz.

- Trafiali tu ci, którzy coś ukradli, złamali jakąś dyscyplinę. Były tu ćwiczenia, musztra. To trwało do przyścia Armii Radzieckiej w 1945 roku. Po wojnie budynki były wykorzystywane w różny sposób. Wiele z nich przetrwało do lat 70. minionego wieku, jak np. stołówka, a potem były burzone. Jedyny barak stołowy, który się zachował, to

barak na terenie prywatnej firmy węgierskiej Duna. On jest przebudowany. Czekamy na zgodę firmy, abyśmy mogli tam wejść. Tam jest też rampa kolejowa zbudowana rękami więźniów - przyznaje Adam Szydłowski.

- Podjęliśmy bliską współpracę z Muzeum Holocaustu w Nowym Jorku. Dzięki temu możemy kompletować listę więźniów. Należy przywrócić imiona i nazwiska wszystkim więźniom i ustalić, co się z nimi stało. Z tysiąca mamy zidentyfikowanych dotychczas 76 osób. Bardzo dużo pomogła Fundacja Spielberga, która posiada w swoich zasobach nagrania osób, które przeżyły holocaust,

a były ciągle przenoszone i funkcjonowały w kilku obozach. Musimy trafić na ten moment, kiedy trafiają do obozu Ha-Ga Łagisza. Dzięki temu możemy dopisać kolejne osoby. To można wyeksponować potem na tablicy, umieścić w monografii - tłumaczy Adam Szydłowski.

Drugi krok to rozpoczęta współpraca z Muzeum Auschwitz-Birkenau. Pozostaje jeszcze Instytut Pamięci Narodowej, gdzie też Fundacja im. Rutki Laskier stara się o współpracę. W planach jest też wyłączenie przez fundację dwóch, trzech wolnych pomieszczeń na terenie baraków w Łagiszy.

- Chcielibyśmy odnowić te pomieszczenia. W jednym z nich oddać część Polakom, mieszkańcom Łagiszy, którzy pomagali więźniom. Druga część dotyczyłaby eksterminacji więźniów i ich pobytu w obozie, a trzecia maszyny wojennej, a więc poświęcona byłaby 35 wartownikom i osobom, które nadzorowały to, co się w Łagiszy działo. Chcemy pokazać ich działanie, historię i to, co się z nimi stało. Bo to bulwersuje dziś mieszkańców, że po tym, co robiła taka osoba, potem została np. burmistrzem jakiegoś niemieckiego miasta czy radnym. Kilka osób skazano po wojnie, w tym Horst Czerwiński, ale jego ściganie trwało 20 lat. Będąc starszym panem został ukarany, ale potem został wypuszczony na wolność. Ta ręka sprawiedliwości dosięgła go więc pod koniec jego życia - mówi Adam Szydłowski.

Jak dodaje, ma nadzieję, że współpraca z władzami miasta pozwoli w przyszłym roku to miejsce oznaczyć. Wykonać tablicę, zindeksować artefakty, które są dostępne - od obozowych słupów po fotografie.

- Finalnie chciałbym, by autokary, które z gośćmi odwiedzają Będzin, kierując się m.in. w miejsce spalonej synagogi, do bunkra Frumki Płotnickiej czy Placu Bohaterów Getta oraz naszej fundacji, przyjeżdżały także do Łagiszy. To będzie bardzo ważny punkt w dalszej działalności edukacyjnej nie tylko dla naszych obywateli, ale także gości zagranicznych - podkreśla badacz dziejów zagłębiowskich Żydów. - Planujemy też, wspólnie z radnym Igiem Mrozińskim, skontaktowanie się z potomkami osób, które zeznawały w sprawie Ha-Ga Łagisza w latach 60. minionego wieku. Tu jest społeczność jednorodna, zazwyczaj na tej ojcowiźnie mieszka, więc liczymy na to, że te nazwiska i adresy się nie zmieniły. Chcemy nagrać wspomnienia nawet dzieci, które słuchały swoich rodziców, a być może znajdują się jakieś dokumenty, pozostałości po tych dawnych czasach. Uhonorujmy to miejsce i pamiętajmy o tym, co się tutaj działo - mówi Adam Szydłowski.



Obelisk upamiętniający więźniów podobozu Ha-Ga Łagisza przy ul. Pokoju w Będzinie-Łagiszy

FOT. MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

FOT. MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

MIECZEM, KUSZĄ I ARMATĄ

O tym, jak walczono u granicy Śląska i Małopolski, mówi dr Cezary Namirski z bielskiego Muzeum Historycznego, kurator wystawy „Batalie i konflikty: działania militarne na pograniczu śląsko-małopolskim w późnym średniowieczu”

Jacek Drost

Było się o co bić w tym średniowieczu?

Na pograniczu śląsko-małopolskim zdecydowanie tak, gdyż tutaj przebiegała granica między dwiema wielkimi potęgami późnośredniowiecznej Europy Środkowej – Królestwem Polski a Królestwem Czech. Śląsk był lennem czeskim, większość ksiąząt śląskich od lat 20. XIV wieku była lennikami czesкими, a Małopolska należała do Polski. Na dodatek na południu biegła jeszcze granica z Królestwem Węgier. To powodowało, że konflikty o różnym nasileniu i przebiegu były nieuniknione.

Bili się o ziemię, zasoby, fortyfikacje, sławę, kobiety, skarby?

Jeśli chodzi o największe konflikty, to główną przyczyną były kwestie polityczne. Śląsk był lennem czeskim, a Małopolska była po polskiej stronie granicy. Polscy królowie podejmowali próby odzyskania przynajmniej części księstw śląskich utraconych na rzecz Czech w wyniku rozbicia dzielnicowego. Kazimierzowi Wielkiemu to się nie udało, ale już Kazimierz Jagiellończyk w wyniku całego szeregu konfliktów z książętami oświęcimskimi, które zaczęły się jeszcze za czasów Władysława Warneńczyka, zmusił ostatniego księcia oświęcimskiego do sprzedaży księstwa, a później już w bardziej pokojowy sposób zostało odzyskane Księstwo Zatorskie. Ale na tym terenie działali także raubrittery, czyli rycerze rabusie. Oni łupili po obu stronach granicy, czasami za cichym przyzwoleniem władców z jednej czy drugiej strony granicy. Tak więc motywacje były różne.

Kiedy zaczęły się te konflikty?

Pierwszy poważny konflikt związany z przejściem przez Czechy kontroli nad Śląskiem miał miejsce za panowania króla Kazimierza Wielkiego. W 1345 roku wybuchła wojna polsko-czeska o Śląsk. Zaczęła się na odległym dla nas obszarze, bo atakiem Czechów na Księstwo Świdnickie, które

wówczas pozostawało niezależne. Kazimierz Wielki podjął działania na pograniczu śląsko-małopolskim, atakując Księstwo Opawskie, oblegając też Żory. Następnie musiał się wycofać ze względu na nadejście sił czeskich i nieudane oblężenie Krakowa, ale później wojska polskie odniosły zwycięstwa w bitwach pod Pogonią czy Lelowem. Mimo tych sukcesów, Kazimierzowi Wielkiemu nie udało się odzyskać żadnego z księstw śląskich i Śląsk pozostał częścią korony czeskiej, z brzemieniami skutkami dla pogranicza śląsko-małopolskiego.

Jak charakter miały te konflikty?

Zupełnie inny niż współczesne konflikty zbrojne. Biorąc za przykład wojnę polsko-ceską o Śląsk, która trwała od 1345 do 1348 roku, w rzeczywistości działania zbrojne prowadzone były krótko. W porównaniu do dzisiejszej wojskowości, kiedy to walki toczą się przez długi okres czasu, w średniowieczu miały one zupełnie inną dynamikę. Co więcej, konflikty na pograniczu śląsko-małopolskim przybierały różne formy. Nie były to tylko starcia między wojskami królestw, w tym przypadku Polski, Czech i Węgier, ale także działania podejmowane przez polskich możnych i rycerzy rabusiów, którzy ze swoich zamków łupili tereny przygraniczne. Poddawano przeciwko nim ekspedycje mające na celu likwidację ich gniazd.

Długo one trwały? Dużo osób brało w nich udział?

Poszczególne kampanie były liczone w tygodniach lub miesiącach, a nie w latach. Wojska można było zmobilizować tylko na określony, krótki czas, co było ograniczone ze względów finansowych i praktycznych. Jeśli chodzi o liczebność wojsk i ponoszone straty, to źródła średniowieczne są stosunkowo ograniczone i często nie podają konkretnych liczb. Wiemy m.in., że w 1452 r. Pia-

stowie oświęcimscy dysponowali 900 zbrojnymi.

Jaka była najkrwawsza na tym terenie bitwa, potyczka?

Na pewno wiemy, że w przypadku bitew pod Pogonią czy Lelowem, gdzie Polacy pokonali Czechów, to zostały tam rozbite tylko oddziały, które były częściami armii czeskiej wycofującej się spod Krakowa. Tam możemy mówić raczej o setkach zabitych. Jednym z epizodów, gdzie mamy informacje źródłowe na temat liczby poległych, jest zdobycie w 1460 roku należącego do Skrzyńskich zamku w Żywcu. Długosz podaje, że zostało tam zabitych i rannych około 50 oblegających.

Czy w średniowieczu zmieniły się sposoby walki, taktyka?

Zdecydowanie. Wiek XIV i XV, czyli późne średniowiecze, był bardzo ważnym okresem pod tym względem. Jednym z takich wydarzeń, które wniosły zmiany do sztuki wojsko-

wej, były wojny husyckie toczące głównie na terenie Czech. Husyci byli ruchem społecznym i religijnym, który rozwinął się w Czechach. Jednak epizody tych walk miały także miejsce na pograniczu śląsko-małopolskim. Husyci w 1430 r. zdobyli Gliwice, Bytom i Pyskowice, rok później Gliwice zostały odbite w dość krwawych okolicznościach. Husyci znakomicie opanowali tzw. szyk wozowy, czyli ustawienie wojsk w taki defensywny sposób z użyciem wozów, zza których mogli się skutecznie bronić i później przeprowadzić kontratak. Właśnie szyk wozowy, znakomicie opanowany przez husytów, upowszechnił się w Europie Środkowej, był stosowany przez wojska polskie w różnych formach także w czasach nowożytnych. Innym przykładem zmian w sztuce wojennej był wzrost znaczenia wojsk najemnych. Późne średniowiecze to jest już schyłek konnego, ciężkozbrojnego rycerstwa, tak bardzo kojarzonego

ze średniowieczem. Rycerstwo w Europie Zachodniej, ale także na ziemiach Polski, zaczyna ponosić klęski w walce z piechotą. Na ziemiach polskich udowodniła to wojna trzynastoletnia z zakonem krzyżackim, gdzie już w pierwszym roku wojny, 1454, Polacy przegrali bitwę pod Chojnicami, gdzie efektywność rycerstwa wobec doświadczonych, najemnych żołnierzy ukazała się w całej krasie. W związku z tym już w drugiej połowie XV wieku armie polskie, czeskie czy też węgierskie coraz częściej polegały na wojskach zaciężnych, w których służyli najemnicy mający doświadczenie, bardziej obcy ze sztuką wojenną niż pospolite ruszenie.

A broń także ulegała zmianie?

Wiek XIV i XV to czas narodzin artylerii. Jej użycie na pograniczu śląsko-małopolskim jest potwierdzone źródłowo. Wiemy, że w trakcie oblężenia w 1453 roku zamku Wołek koło Kobiernic, gdzie książę oświęcimski Jan IV bronił się przed wojskami polskimi, artyleria była używana do ostrzału zamku. Zachował się list do dowódcy Jana Tęczyńskiego, w którym wspomniane jest zwycięstwo. Opisując zdobycie zamku Barwałd w 1477 roku, Jan Długosz pisze, że w zamek bito z najcięższych dział. Po wykupieniu Księstwa Oświęcimskiego, które wcześniej było lennem czeskim, przez Kazimierza Jagiellończyka w 1457 roku, król musiał zapłacić księciu oświęcimskiemu Janowi IV odszkodowanie za działo zabrane z zamku w Oświęcimiu. Mamy więc sporo wzmianek na temat użycia artylerii na pograniczu śląsko-małopolskim w XV wieku. To był okres, kiedy rozwój artylerii w Europie był bardzo wyraźny. Znanych jest wiele rodzajów dział, w tym najpotężniejsze bombardy ładowane od przodu, używane przy oblężeniach zamków i miast warownych, ale także lżejsze działa, takie jak foglerze czy targańce. Zmiany następowały także w broni miotającej,

jeśli chodzi o kusze; w XIV wieku często były one napinane siłą mięśni hakami naciągowymi, natomiast w XV wieku upowszechniły się mechanizmy do napinania kusz. Były też stosowane pierwsze formy ręcznej broni palnej.

Czy był w tamtym czasie jakiś dowódca, który zapisał się złotymi zgłoskami?

Jeśli chodzi o pogranicze śląsko-małopolskie, to w późnym średniowieczu stoczono stosunkowo niewiele bitew w otwartym polu, które mogłyby pokazać kunszt taktyczny. Były to głównie oblężenia, m.in. zamków w Oświęcimiu czy Barwałdzie. Wspomnieć trzeba o Jakubie z Dębna, który dowodził wojskami polskimi podczas ekspedycji przeciwko zamkom należącym do Mikołaja Komorowskiego. Komorowski posiadał zamki w Żywcu, Barwałdzie i Szaflarach i chciał je oddać królowi Węgier w zamian za dobra na Orawie. Kazimierz Jagiellończyk, żeby do tego nie dopuścić, wysłał ekspedycję pod komendą Jakuba z Dębna, który zdobył wszystkie trzy warownie, a także odniósł zwycięstwo w 1473 roku, pokonując w okolicach Oświęcimia siły wierne królowi Węgier Maciejowi Korwinowi, które prowadziły tam działalność łupieżką.

Co się z tego wszystkiego zachowało w ziemi, w muzeach, na wystawie?

Temat jest bardzo szeroki, znamy stosunkowo liczne egzemplarze późnośredniowiecznego uzbrojenia. Na wystawie prezentuję przykłady broni obuchowej, m.in. topory, które są dość licznie znane ze stanowisk na pograniczu śląsko-małopolskim, w tym Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. Można także zobaczyć główce mieczy, czyli element kończący rękojeść. Niestety, kompletnych zachowanych egzemplarzy z tego okresu przetrwało stosunkowo niewiele. Zmieniły się one na przestrzeni średniowiecza i są bardzo ważnym wyznacznikiem chronologicznym. Są także groty bełtów do kuszy, która była bronią chętnie używaną przez wojska najemne. Na wystawie jest gąbota poświęcona amunicji artyleryjskiej, gdzie pokazuję przede wszystkim kamienne kule armatnie. Na naszym terenie były one wykonane z piaskowca, ale jest także przykład kuli żelaznej z zamku w Oświęcimiu czy żelazny rdzeń rzadkiej ołowianej kuli.

Gdzie i do kiedy można zobaczyć wystawę?

Ekspozycję można oglądać do 8 lutego w zamku Sułkowskich, 15 stycznia odbędzie się oprowadzanie kuratorskie po wystawie, zaś 8 lutego wykład na temat rycerzy rabusiów. Zapraszam.



Dr Cezary Namirski zaprasza do obejrzenia ekspozycji w bielskim zamku Sułkowskich

FOT. ARCHIWUM CEZAREGO NAMIRSKIEGO

SEN O ŚLĄSKIM HOLLYWOOD OKAZAŁ SIĘ KOSZMAREM

„Górny Śląsk w pierwszej połowie lat dwudziestych XX wieku był jak niedokończony film: pełen napięcia, z niedopowiedzianym dialogiem i chaotycznym montażem”

Paweł Roszak-Kwiatek, Marcin Wądołowski

Na ulicach Katowic, Siemianowic czy Chorzowa mieszały się języki, stroje, hasła polityczne i tożsamościowe. To był region o wielu twarzach - polskiej, niemieckiej, śląskiej - i każda z nich chciała zostać zapamiętana inaczej. W takim krajobrazie film nie był tylko rozrywką. Był narzędziem. Obietnicą. Sposobem na opowieść. Bo kto opowie obrazem - ten utrwali wersję zdarzeń. Dlatego właśnie Śląsk lat 20. XX wieku stawał się przestrzenią, w której kamera mogła więcej niż megafon. Potrzebne było tylko studio, światło, zespół. I ktoś, kto miałby odwagę powiedzieć: „cisza na planie, akcja!”. W Katowicach działało już wówczas kilka kin stałych, m.in. „Kammerlichtspiele” (późniejszy kinoteatr „Rialto”), ale nie istniała żadna lokalna produkcja filmowa. Śląsk konsumował cudze obrazy. Nie produkował własnych.

I właśnie w tę lukę próbował wejść Stefan Pierzchański. Dla niego film nie był ucieczką od rzeczywistości - był sposobem na jej uporządkowanie. Wiedział, że region taki jak Śląsk - złożony, pełen sprzeczności - nie może być opowiedziany centralnie, z Warszawy. Potrzebuje własnej narracji. Własnych bohaterów, lokalnych aktorów, krajobrazów, ulic, języków. Tutejszy film miał mówić tutejszym głosem.

To właśnie wtedy zaczął pojawiać się plan stworzenia atelier filmowego - nie w stolicy województwa, ale w sąsiednich Siemianowicach Śląskich. Miejsce to, choć mniejsze, oferowało Pierzchańskiemu coś, czego nie miały inne: przestrzeń, industrialne zaplecze, bliskość huty, otwartość na eksperyment i - nie bez znaczenia - brak konkurencji. W jego oczach Siemianowice były idealnym miastem-scenografią: z surową estetyką przemysłową, z wieżami szczytów w tle. I z ludźmi, którzy nie bali się ciężkiej pracy - również tej przy produkcji filmu.

Pierwsze rozmowy o lokalizacji atelier zaczęły się w 1925 roku. W sprawę zaangażował



Adepci szkoły filmowej Espe-Film podczas zajęć plenerowych

się członek zarządu spółki Górnośląskie Zjednoczone Huty Królewska i Laura - inż. Robert Sznajka. Dzięki jego radzie zdecydowano się na adaptację budynku dawnej oberży hutniczej przy ul. Dworcowej. Budynek ten - murowany, z wysokimi pomieszczeniami, położony w pobliżu głównych ciągów komunikacyjnych - miał potencjał, by zamienić go w pełnoprawne studio filmowe.

Gdy kończy się rok 1925, koncepcja przyszłych działań zdaje się być już nakreślona. Wśród papierów na biurku Stefana Pierzchańskiego leżą projekty, szkice filmów, listy, wizytówki. Obok - pierwszy plan organizacyjny czegoś, co już nazywa się Espe-Film.

Rok 1926. Wytypowany do adaptacji budynek przy ulicy Dworcowej w Siemianowicach Śląskich - jeszcze niedawno zapomniana oberża hutnicza - powoli zaczyna przekształcać się w coś innego. Coś nowego. Coś, czego jeszcze nie było na Górnym Śląsku. Nowoczesne studio filmowe.

Z zewnątrz - fasada skromna, ceglana, oszczędnie przystrojona, z industrialnym charakterem. Wewnątrz - hala z wysokim sklepieniem, echo, zimna podłoga i zapach tynku. Jeszcze pusto. Ale w wyobraźni Stefana Pierzchańskiego to już nie zwykła sala - to przestrzeń kadru. Kiedy pa-

trzy na nią pod światło, nie widzi pyłu. Widzi promień reflektora.

Rusza adaptacja. Zatrudniani są lokalni rzemieślnicy, murarze, cieśle, elektrycy. Do Siemianowic trafiają zamówione z Berlina części oświetlenia lukowego, statywy, mechanizmy prowadnic, uchwyty do lamp. Na miejscu buduje się platformy jezdne, podesty dla kamer, rozwiesza czarne płótna tłumiące światło dzienne. Trwa montaż sceny. Nie teatralnej - filmowej.

Cały kompleks filmowy, który powstał w Siemianowicach przy ul. Dworcowej, obejmuje kilka wyraźnie wyodrębnionych przestrzeni. Centralnym punktem jest oczywiście duża hala zdjęciowa, ale oprócz niej w obrębie posesji znalazło się pomieszczenie techniczne (ciemnia fotograficzno-filmowa), montażownia, magazyn sprzętu oraz osobne zaplecze administracyjne.

Część pomieszczeń mieści się na piętrze, gdzie planowano ulokowanie montażowni oraz pomieszczeń mieszkalnych dla pracowników wytwórni i gości spoza regionu. Wewnątrz budynku zadbane o system wentrowania, zaizolowano czarne zasłony i tła studyjne. Wydzielono przestrzeń pod archiwum i przechowywanie taśm światłoczułych, które wymagały

chłodnych, suchych warunków.

Urokliwym dopełnieniem całości siemianowickiej siedziby był położony obok park hutniczy (niegdyś będący rozległym stawem), który przeznaczony został jako miejsce do kręcenia plenerów.

W październiku 1926 roku Espe-Film otwiera formalnie szkołę aktorską - z ambicją kształcenia nowych twarzy dla planowanych filmów fabularnych. To była decyzja pionierska, zwłaszcza w kontekście Górnego Śląska, gdzie nie istniały wcześniej tego typu instytucje, a aktorstwo filmowe było znanym, ale jeszcze nie rozpowszechnionym zawodem.

Szkoła powstała przy wytwórni, działała w jej strukturze i miała ściśle praktyczny cel: przygotować obsadę do planowanego filmu, szkolić kandydatów w zakresie gry mimicznej i pantomimy, wdrażać ich w pracę przed kamerą. Zajęcia obejmowały ćwiczenia z gestu, ekspresji twarzy, podstaw kompozycji ujęcia i zachowania się w świetle studyjnym. Nie uczono reżyserii, techniki, ani montażu - to miała być wyłączność szkoły aktorów ekranu.

Zajęcia w szkole filmowej rozpoczęły się w 1. października 1926 roku, a nabór był otwarty - ogłaszano go w prasie lokalnej, rozwieszano afisze w Katowicach, Siemiano-

wicach, Chorzowie. Kandydaci zgłaszali się z nadzieją na występ w filmie - niektórzy z doświadczeniem teatralnym, większość bez. Liczyła się twarz, ruch, zdolność przekazu bez słów. Rekrutowano młodzież, ale też osoby dorosłe - do ról dramatycznych, rodzinnych, epizodycznych.

Ale trzeba to powiedzieć wprost: to nie była szkoła w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Nie było formalnego programu nauczania, wykwalifikowanej kadry akademickiej, oficjalnego systemu dyplomowania. Była to raczej inicjatywa prywatna o charakterze warsztatowym, w której liczyła się praktyka, zapal i... twarz. W całej Polsce w latach 20. podobnych szkół powstawało wiele - najczęściej przy wytwórniach lub instytucjach o luźnych strukturach. Artyści, reżyserzy, czasem nawet dziennikarze filmowi prowadzili kursy aktorstwa filmowego, bazując na intuicji i doświadczeniu z kina niemego.

Co istotne, szkoła była odpłatna. Za kursy pobierano czesne - co z jednej strony ograniczało dostępność, ale z drugiej wpisywało się w szerszą strategię Espe-Filmu: nie tylko tworzyć film, ale też zarabiać na jego otocze. Kursanci płacili nie tylko za naukę, ale również za możliwość pojawienia się „przed kamerą”, bycia zauważonym, ewentualnego udziału w filmie.

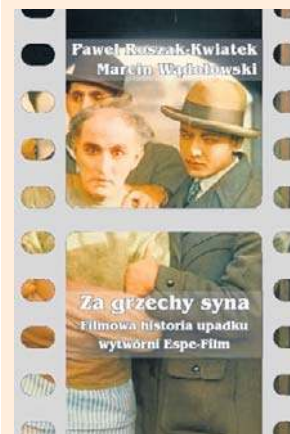
Dla wielu była to inwestycja w marzenie o kinie, dla Pierzchańskich - źródło finansowania projektu w czasie, gdy pierwszy film nadal istniał tylko na papierze.

Szkoła Espe-Filmu, choć funkcjonowała zaledwie przez kilka lat, zdołała wykształcić grupę osób, które na różne sposoby związały się z filmem i teatrem.

Uzupełnieniem działań szkoły aktorskiej były także publiczne castingi dla dzieci, które Espe-Film organizowała w 1927 roku w formie konkursów piękności i urody dziecięcej (niemowlęcej). Ogłoszenia pojawiały się w lokalnej prasie, a wydarzenia przyciągały rodziców marzących o „filmowym debiucie” swoich pociech.

ZA GRZECZY SYNA

W centrum poprzemysłowego regionu, pomiędzy zabudowaniami współczesnej fabryki sprzętu wojskowego Rosomak S.A. a nieco zapomnianym dawnym parkiem hutniczym, znajduje się przestrzeń pozbawiona pamięci. Nie ruina - pustka. Ani ściany, ani szyldu, ani śladu taśmy filmowej i dawnego blichtru. Tylko ktoś uważny, kto zna tę historię, mógłby powiedzieć: „Tu było studio filmowe. Tu kręcono film. Tu miało powstać śląskie Hollywood”. Za tym przedsięwzięciem stali ojciec i syn: Stefan i Antoni Pierzchańscy. Ojciec - fotograf, dokumentalista, solidny rzemieślnik i polski patriota. Syn - operator, debiutujący filmowiec, wizjoner bez ograniczeń, koniunkturalista. Ich relacja przypominała taśmę filmową: napiętą, wrażliwą na światło, podatną na zerwanie. Wspólnie stworzyli coś wyjątkowego - pierwszą profesjonalną wytwórnię filmową na polskim Górnym Śląsku. I wspólnie - choć nie w równym stopniu - doprowadzili ją do upadku. Pod koniec grudnia ubiegłego roku miała swą premierę książka: „Za grzechy syna. Filmowa historia upadku wytwórni Espe-Film”, której fragmenty publikujemy.



IM WIĘKSZY NIEPOKÓJ, TYM WIĘKSZE KOLEJKI PO ZŁOTO

Co warto wiedzieć przed zakupem złotych monet inwestycyjnych?
O inwestowaniu w złoto oraz kryptowaluty
rozmawiamy z Maciejem Peteją z IDF Metale w Katowicach

Jolanta Pierończyk

Jak rozpoznać autentyczność monet?

Niedawno spotkałem się w internecie ze stwierdzeniem, że nie ma stuprocentowej techniki na sprawdzenie autentyczności monet. Że jedyna możliwość to taka, że przetapiamy i sprawdzamy, czy to jest złoto. Ale w internecie, jak wiadomo, jest wiele różnych treści. Ja osobiście, odpukać, nie spotkałem się z monetami podrabianymi, a cały czas słyszę - także od klientów - że zalewani jesteśmy monetami podrabianymi. Ja, jak już powiedziałem, nie spotkałem się z nieprawdziwymi monetami i mam nadzieję, że tak zostanie do końca mojej zawodowej kariery. Ale jeśli chodzi o sposoby na potwierdzenie autentyczności, to ja bym wyróżnił dwie grupy tych sposobów. Jedne to takie, którymi dysponują podmioty profesjonalne. I to są urzędnicy, które sprawdzają parametry monety, ponieważ złoto ma bardzo unikalne właściwości i pewnie dlatego od tysięcy lat jest w obiegu. Bo te właściwości za pomocą bardzo zaawansowanych urządzeń można sprawdzić. Natomiast są też sposoby dostępne każdemu. Jeśli mówimy o monetach - złotych czy srebrnych - to wystarczy położyć monetę na wadze i sprawdzić, czy faktycznie ma taką wagę, jaką podaje producent. Można też wziąć suwmiarkę czy linijkę mieniczą - obie sprawdzają średnicę i grubość. W linijce są wcięcia, gdzie pisze np. średnica Filharmonika albo jego grubość, przykładamy taką monetę i sprawdzamy. Jeśli nie chcemy mieć linijki mieniczej, wystarczą suwmiarka i wiedza na temat średnicy czy grubości danej monety. A przy pomocy wagi sprawdzamy wagę. Jeśli to się zgadza, to możemy przyjąć, że moneta jest autentyczna. Natomiast ja do tego proponuję jeszcze test dźwięku. Każda

moneta, ze względu na swoje wymiary, inaczej dźwięczy. Są aplikacje na komórkę, płatne czy bezpłatne, jest ich wiele, za pomocą których dźwięk wybranej monety sami możemy sobie potwierdzić.

Czy państwo jako sprzedawcy sprawdzają autentyczność monet?

Oczywiście, i często robimy to przy klientach. Zależy nam bowiem także na edukacji społeczeństwa. Oczywiście, zasada jest taka, że klient przynosi gotówkę i wymienia na złoto. Ale staramy się zawsze dawać coś od siebie. Mówimy, o co w tym wszystkim chodzi. Zdarzało się, że klient chciał kupić złoto na pół roku, co jest niebezpieczne, bo raz - to różnica między ceną sprzedaży a ceną zakupu, a dwa - nie ma pewności, że skoro w ciągu ostatniego pół roku cena złota wzrosła o 20 proc., to przez następne pół roku też o 20 proc. wzrośnie. Ludzie powinni wiedzieć, że złoto to raczej forma zabezpieczenia majątku na dłuższy czas. Jeśli ktoś przychodzi z innym założeniem, to ja mu mogę oczywiście metal sprzedać, ale uważam, że moją rolą jest uświadomić klientowi, że to może tak nie zadziałać. Że jest to niebezpieczne. Że złoto i w ogóle metale szlachetne - zważywszy na znaczące wzrosty w ostatnim czasie - można potraktować jako aktywo spekulacyjne, ale nigdy tego nie polecam, bo nigdy nic nie wiadomo.

Gdyby na liście lokat kapitału umieścić nieruchomości,

*PRZEZ TYSIĄCE LAT
NIE ZDARZYŁO SIĘ, BY ZŁOTO
STRACIŁO WARTOŚĆ, CO
ŚWIADCZY O JEGO SILE. JEST TO
AKTYWO PEWNE, NAMACALNE*

złoto i inne, to jak w tym układa się plasuje się złoto?

To trudne pytanie. Odpowiem tak, jak ja uważam, ale ktoś może się ze mną nie zgodzić. I powiem tak: złoto to nie jest inwestycja, choć ostatnie miesiące czy lata pokazują, że można na nim zarobić. Ale to są wyjątkowe sytuacje. Kiedy zaczynałem tu pracę, to złoto nie było aktywem, które robiło 20 czy 30 proc. w ciągu roku. Robiło kilka procent, góra dziesięć. Zarobić można było na innych aktywach. I może dlatego dziesięć lat temu złoto nie było tak popularne jak teraz. Natomiast ja osobiście uważam, że złoto powinien mieć każdy, ale - powtórzę - nie jako aktywo spekulacyjne, nie jako inwestycję, raczej jako formę zabezpieczenia pieniędzy. Bo każdy z nas powinien mieć jakąś poduszkę finansową, jakiś fundusz, z którego skorzystamy wtedy, gdy coś się wydarzy. I jeśli traktujemy złoto jako część poduszki bezpieczeństwa, a wręcz takiej poduszki, której nie mamy w zamiarze ruszać, to dla mnie złoto jest jednym z numerów 1. U mnie - subiektywnie to jest tak, że jest gotówka jako forma zabezpieczenia. Na drugim miejscu u mnie są metale szlachetne (zaczynałem od srebra, bo srebro było w moim zasięgu, a złoto jeszcze nie). Jak ktoś buduje portfel, kupuje srebro raz na miesiąc czy dwa. A dalej? Wszystko zależy od naszych możliwości. Może kryptowaluty? My mówimy o metalach szlachetnych - trzymamy, nie sprzedajemy,

też nie spekulujemy, choć kryptowaluty postrzegane są jako aktywa spekulacyjne. My jednak polecamy kryptowaluty jako formę dywersyfikacji portfela, swojej poduszki finansowej: kupuj, zapomnij na kilka lat. Nic jednak nie proponujemy na siłę. Mam klientów, którzy mówią: „Nie jestem przekonany do kryptowalut, nie chcę w to wchodzić” i ja to szanuję. Mam też grono osób starszych ode mnie, które mówią: „Nie do końca wiem, o co chodzi, ale spróbuję”. I jakąś część swoich funduszy w te kryptowaluty inwestują. Jeśli robią to w dłuższym terminie, to może to być ciekawe. Z perspektywy czasu mogą powiedzieć, że coś przyjemnego z tego jest.

Mamy te złote monety i co?

Trzymamy. Są osoby, które lubią sobie co jakiś czas wyjąć, pooglądać i nacieszyć się, zwłaszcza jak ktoś regularnie dokonuje zakupów. Mam młodych klientów, którzy regularnie kupują jakieś monety. Uważam, że jeśli ktoś jest młody, wchodzi w ten rynek, zaczyna uczyć się oszczędzania, to przyjemnie jest, jak raz na pół roku wyjmie sobie swój depozyt i widzi, że były kiedyś dwie monety, a teraz jest np. dziesięć. To motywuje do kontynuowania. Jak przechowywać? To kwestia indywidualna. Są dwie grupy osób. Jedna trzyma ten metal w miejscu, do którego ma dostęp 24 godziny na dobę i gdy coś się wydarzy, to można z tego skorzystać. Druga grupa trzyma go w bankach, w skrytkach, firmach specjalnych. Natomiast ja - wskutek rozmów z klientami - nie jestem zwolennikiem tej drugiej metody. Bo w tym momencie tworzymy sobie barierę. Kiedyś usłyszałem od klientów taką historię, że gdzieś na Kresach Wschodnich była mała miejscowość, jeden bank i w przededniu

wojny wszyscy mieszkańcy poszli wypłacić pieniądze. Wyszedł właściciel banku, powiedział: „Spokojnie, wszystko zostanie wypłacone, proszę przyjść o piętnastej, wszystko przygotowujemy”. Przyszli o piętnastej, a tam kłódka na drzwiach. Więc ja osobiście nie chciałbym sytuacji, że stoję przed kratą i widzę, że w skrytce, w rogu są moje pieniądze, ale co z tego, kiedy nie mam do nich dostępu.

A teraz sytuacja odwrotna. Mamy monety, chcemy gotówkę. Przychodzimy w to samo miejsce...

Może być to samo lub inne, bo punktów sprzedaży metali szlachetnych jest więcej: nie tylko w Katowicach, Polsce, ale też za granicą. Monety, o których mówimy, są rozpoznawalne na całym świecie.

Cena kupna różni się od ceny sprzedaży?

Tak. Klienci kupują od nas po wyższej cenie (cena sprzedaży), a my odkupujemy po niższej (cena skupu). Weźmy przykład. Najtańsza moneta kosztuje w tej chwili [27 października 2025] 15 450 zł (tyle kosztuje Britannia). Gdybyśmy chcieli poznać cenę skupu, wchodzimy na naszą stronę internetową w zakładkę Skup, wybieramy pozycję „uncja”. Tu akurat mamy cenę za gram, bo teraz mówimy o monetach, ale są też sztabki, a im jest bliżej do gramów - 20, 50, 100 g. Więc żeby klientom, mam nadzieję, uprościć przeliczanie, podajemy wartości w gramach. A gram to w tej chwili [27 października 2025] 474,24 zł, więc mnożymy przez 31,1 g (uncja) i wychodzi 14 750 zł. Jak już przeszliśmy do różnicy między ceną zakupu a późniejszą ceną sprzedaży, trzeba pamiętać, że im mniejsze gramatury, tym cena za gram jest wyższa. Jeśli na przykład kupujemy dwie monety półun-

cjowe, to zapłacimy więcej niż za uncję w jednym kawałku. A jeżeli kupujemy dwie monety ćwierćuncjowe, to ta cena będzie wyższa niż w jednej połówce. Czyli im bardziej się rozdrabniamy, tym cena za gram rośnie przy zakupie, a przy odsprzedaży niekoniecznie. Trzeba mieć świadomość tego, że jeśli ktoś przyniesie sztabkę 100-gramową czy dwie pięćdziesiątki lub pięć dwudziestek czy nawet dziesięć dziesiątek, to dla mnie dalej jest to 100 gramów, a dla klienta przy odsprzedaży to będzie dość widoczna różnica między jedną 100-gramową sztabką a dziesięcioma 10-gramowymi.

Minusy inwestowania w złoto?

Chyba przechowanie. Jak mamy większą ilość, możemy czuć się niekomfortowo, że mamy w domu złota za kilkadziesiąt tysięcy. Ponadto trzeba pamiętać, że jest to aktywo inwestycyjne, notowane, czyli jego ceny rosną i spadają. Może być, że wejdziemy na drugi dzień po zakupie na stronę internetową i cena będzie niższa. Były takie sytuacje. Klienci byli niezadowoleni, ale to jest specyfika każdego notowanego aktywa. Trzeba mieć po prostu tego świadomość. Generalnie jednak wolę mówić o plusach niż o minusach.

To przejdźmy do plusów.

Jest ich bardzo dużo. Po pierwsze - mamy prawdziwy pieniądź. Złoto ma realną wartość, nieprzerwaną przez tysiące lat. Na papierku możemy sobie wydrukować, co się tylko chce. Druga kwestia: namacalny charakter złota czy innego metalu szlachetnego. Kiedy coś się dzieje, zapala się nam światelko, że musimy mieć coś realnego w domu, a nie papierki, które nagle tracą swoją wartość. Papierek to pieniądź fiducyjny (fides - za-



FOT. ARC

Maciej Peteja: Złoto powinien mieć każdy, ale nie jako aktywno spekulacyjne czy inwestycja

ufanie po łacinie), czyli oparty na wierze - wierzymy, że to jest warte tyle, ile tam napisano. W przypadku złota nie ma wiary, jest jego realna wartość. Dlatego jak coś się dzieje, uważamy, że warto ten metal mieć. Jak ja banknot przerwę na pół, to jest przerwany, a jak uncję złota podzielię na pół, to parę procent stracę, bo jednak uszkodzona, ale jak pójde do jubilera, to nadal to kupi, może taniej, ale nawet poprzecinane, poobgryzane to nadal jest to złoto. Coś, co przechowuje swoją wartość w czasie. Przez tysiące lat nigdy się nie zdarzyło, by złoto straciło wartość, co też świadczy o jego sile.

A więc aktywno pewne, namacalne, które można mieć w rękę.

Trzecia kwestia: transakcyjność. Weźmy na przykład mieszkanie (oczywiście nic nie mam przeciwko mieszkaniom i inwestowaniu w nieruchomości). Gdy chcemy je sprzedać szybko, to musimy dać znaczący rabat. Natomiast jak chcemy sprzedać na szybko złoto, przychodzimy do punktu skupu metali i wymieniamy na gotówkę. Po aktualnej cenie za gram. Jak mówiliśmy, jest to aktualnie 474,24 zł za gram. I wcale nie trzeba oferować np. 300 zł, żeby było szybciej.

Cena jest stała - zarówno w Polsce, jak i w innym miejscu na świecie. Kolejna korzyść to mobilność. Mieszkania nie zabierzemy ze sobą, ziemi też nie, a metal wkładamy do plecaka czy kieszeni i w drogę. Poza tym - mieszkanie może spłonąć. A złotu ogień niestraszy. Nawet jak się roztopi (temperatura topnienia złota jest bardzo wysoka - 1064 stopnie Celsjusza, podczas gdy typowy pożar domowy osiąga 600-800 stopni, więc złoto przetrwa w formie stałej), to nadal jest to złoto. W innym kształcie, ale nadal złoto.

A zainteresowanie złotem? Czy są tzw. złote okresy dla złota?

Powiem tak: im gorzej, tym lepiej. Im większy niepokój społeczny, tym większe kolejki w takich miejscach jak nasze. Minus tego jest taki, że jak coś się dzieje, to nie tylko kupujemy my, czyli - niezbyt elegancko mówiąc - ulica, ale kupują też duże podmioty. Taka jest sytuacja w tym momencie. Jeśli chodzi o sztabki, nieważne, czy 1-gramowe czy kilogramowe, sztabek nie ma od kilku tygodni i przez kilka tygodni nie będzie, bo takie mamy informacje z mennic, z którymi współpracujemy.

Jak rośnie zainteresowanie, rośnie też cena. Jak wraca spokój, spada cena złota. Dlatego, co już mówiliśmy, nie należy patrzeć na wykresy. Po wzroście cen przyszła kiedyś klientka, żeby sprzedać swoje złoto. Bez konkretnego celu. Po co więc wymieniać na walutę, która cały czas traci na wartości?

A srebro, platyna?

Jeśli chodzi o platynę czy pallad, to my generalnie tymi metalami się nie zajmujemy, więc nie jestem tak bardzo na bieżąco. Ale powiem o jednej praktycznej rzeczy. Od razu podkreślę, że ja nie deprecjonuję ani platyny, ani palladu, bo to metale z dużym potencjałem, ale w tym roku mieliśmy sytuację, że przyszła do nas pani z jednouncjową monetą platynową i pyta, czy my kupujemy, bo ona obesza już całe Katowice i nikt tego nie chciał. Więc ja patrzę na metale pod kątem transakcyjności. Nie chciałbym zarobić 100, 200, 1000 proc. na jakimś aktywie, a potem mieć problem ze sprzedażą. Oczywiście mówię tu tylko o naszym lokalnym rynku, a Katowice to największe miasto w tym regionie i jeśli tu ktoś ma problem ze sprzedażą jednej uncji platyny czy palladu, to ja bym nie szedł w tym kierunku. Złoto czy srebro są aktywnymi jak najbardziej transakcyjnymi. Jeśli chodzi o srebro, to powiem, że bardzo wiele osób traktuje srebro (i słusznie) jako drobne do swojego portfela metalowego. Mówiliśmy, że im bardziej się rozdrabniamy, to cena za gram jest wyższa. Są więc klienci, którzy mówią: „Wiem, że w przypadku złota musiałbym wybrać mniejszą gramaturę, ale nie chcę płacić więcej, więc wybieram jednouncjowe monety srebrne”. Cieszą się one dużym zainteresowaniem. Srebro ma wielu fanów. Wszystkie mennice, które robią złote monety, robią je także w wersji srebrnej. Można więc mieć srebrnego Krugerranda, srebrny Liść Klonowy i wszystkie inne ze złotej szóstki. Jedynie w przypadku Kangurka - rewers tu się co roku nie zmienia, zawsze jest taki sam, tylko w złocie jest zmienny. Ceny srebra są zdecydowanie niższe od złota. Na przykład Liść Klonowy kosztuje ok. 234 zł.

I jeszcze parę słów o kryptowalutach.

Jeżeli kupujemy złoto fizyczne, to ono ma namacalny charakter. W przypadku kryptowalut tego charakteru nie ma. Upraszczając temat, kryptowaluty są w internecie, w specjalnej bazie danych którą nazywamy blockchain. To jest łańcuch bloków z danymi. Każdy blok ma określoną pojemność i jest zapeł-

niany transakcjami przeprowadzanymi w danym momencie, po czym jest zamknięty i transakcje rejestrowane są w kolejnym. I tak dalej. Cały bitcoin nie jest w naszych rękach, ale w tym właśnie blockchainie. Naszym zadaniem jest to, by nie utracić dostępu do tej bazy danych. Musimy temu systemowi udowodnić, że to my jesteśmy właścicielami danych transakcji. Są pewne podobieństwa do tradycyjnego systemu finansowego. Jeżeli chcemy komuś zrobić przelew lub on nam, obie strony muszą mieć konto w banku. Tak samo jest z kontem kryptowalutowym. Takie konto możemy stworzyć samodzielnie. Można to zrobić na różnych platformach w internecie. Początkową trudnością w przypadku kryptowalut może być nomenklatura, czyli niecodzienne pojęcie, typu blockchain, klucz publiczny czy prywatny. Można więc przyjść do takiego kantoru jak my i ja pomagam w stworzeniu takiego portfela czy konta.

Nie wchodząc w szczegóły, powiem tak: konto można stworzyć w internecie, natomiast jak kupujemy kryptowaluty w dłuższym terminie i chcemy je bezpiecznie przechowywać, raczej korzystamy z czegoś, co się nazywa portfelem zewnętrznym. Ten portfel to swoisty pośrednik między nami a danymi w blockchainie, dzięki któremu potwierdzamy, że transakcja tam zapisana jest nasza i możemy robić kolejne. Portfel zewnętrzny - cold wallet - charakteryzuje się tym, że jest poza internetem, nie jest do niego podłączony, a tym samym nie jest narażony na żadne ataki, w przeciwieństwie do giełdy kryptowalut. Dlatego polecamy portfele zewnętrzne.

Kryptowaluty mają też cechę wspólną z metalami szlachetnymi. Jeśli chcemy sprawdzić aktualną cenę złota, to oczywiście można wpisać „cena złota”, ale jak chcemy się dowiedzieć dokładnie, ile zapłacimy za sztabkę czy monetę, musimy się skontaktować z konkretnym dystrybutorem. Podobnie jest z kryptowalutami. Też można wejść na stronę, np. CoinMarketCap i sprawdzić aktualną średnią cenę kryptowaluty, natomiast jeśli chcemy się dowiedzieć, ile dokładnie za kryptowaluty zapłacimy, musimy się skontaktować z miejscem, gdzie tego zakupu chcemy dokonać.

Kryptowaluty to ciekawy temat. Jak już powiedziałem, są traktowane jako aktywa spekulacyjne. Natomiast jak kupujemy w dłuższym terminie, to jest szansa, że te wszystkie spadki oraz wzrosty nas ominą i po jakimś czasie będziemy na plusie.

©©

ZŁOTO INWESTYCYJNE W PIGUŁCE

Najbardziej popularne monety inwestycyjne (przy których nie ma żadnego problemu w przypadku sprzedaży zarówno w Polsce, jak i na świecie) tworzą tzw. wielki kanon, czyli złotą szóstkę: Australijski Kangur, Kanadyjski Liść Klonowy, Wiedeński Filharmonik, Krugerrand z RPA, Britannia z Wielkiej Brytanii, Amerykański Orzeł z USA.

Z tej szóstki Krugerrand jest monetą najstarszą (pojawiała się na rynku w 1967 r.), dlatego wśród części inwestorów Krugerrand uważany jest za monetę numer 1.

Druga złota moneta pojawiła się w 1986 r. To Australijski Kangur, który jest jedyną monetą mającą co roku inny rewers. Ten kangurek co roku wygląda nieco inaczej. Jest to też jedyna moneta fabrycznie pakowana w kapsel, czyli przezroczyste pudełeczko.

Rok 1989. Pojawia się Wiedeński Filharmonik, jedyna moneta, która ma euro na awersie. Moneta bardzo popularna. Po pierwsze - bardzo ładna, po drugie - jest nam najbliższa rejonowo, po trzecie - jest bardzo charakterystyczna, bo ma największą średnicę (39 mm), pozostałe mają ok. 33 mm. Taki duży krążek robi wrażenie, ale uncja to uncja i przy swojej średnicy Wiedeński Filharmonik jest monetą najcieńszą. Przeciwnieństwem Wiedeńskiego Filharmonika jest Kanadyjski Liść Klonowy, którego średnica wynosi 31 mm i stąd jest najgrubszy.

W 1987 r. pojawiła się Britannia. Choć jest starsza niż Wiedeński Filharmonik, niektórzy wciąż kwestionują jej miejsce w wielkiej szóstce. Ale to moneta bardzo ciekawa. Ma uncję złota próby 999, ale nie zawsze tak było. Na początku była tam domieszka miedzi, jak w przypadku Krugerranda i Orła. Britannia jest piękna. Falujące tło, hologram w małym kółeczku, pierścieni z mikronapisami oraz zmienna grafika kłódki, która zmienia się pod różnym kątem patrzenia. Tym samym jest to bardzo dobrze zabezpieczona moneta. Ale to najnowsza wersja. We wcześniejszych tło było gładkie i nieco inaczej wyglądała Britannia, czyli ta postać.

Do momentu wprowadzenia do obiegu Britannii, za najlepiej zabezpieczoną monetę uchodził Kanadyjski Liść Klonowy (w obiegu od 1979 r.), ze swoim małym listkiem nazywanym hologramem, w którym jest aktualna data. Dodatkowo w nowych wersjach mamy coś, co według producenta jest nazywane jako Bullion DNA. Chodzi o to, że liść klonowy wybitny na rewersie umieszczono na tle jakby promieni słonecznych, które wplecione są w kod kreskowy. Mennica kanadyjska dysponuje specjalnym urządzeniem, które jest w stanie odczytać ten kod kreskowy i tym samym dodatkowo potwierdzić autentyczność monety.

Krugerrand oprócz tego, że najstarszy, to jest jedną z dwóch monet, które mają domieszki innego metalu, tu jest akurat miedź. Co sprawia, że to jest próba 916,6, a moneta waży nie 31,1 g, jak by to wynikało z uncji trojańskiej, ale 33,93 g - to masa całkowita tej monety, w tym zawartość miedzi to 2,82 g.

Krugerrand też ma zabezpieczenia, ale to moneta, która wizualnie nie zmieniała się w ogóle od 1967 r., natomiast od 2017 r. pod tylną nóżką skoczniaka antylopiego jest mikronapis Krugerrand, widoczny pod bardzo dużym powiększeniem.

Amerykański Orzeł istnieje od 1986 r. Piękna moneta, ale cena jej zakupu jest znacząco wyższa od pozostałych, co sprawia, że mimo iż jest to moneta kanonowa, czyli z wielkiej szóstki, to jednak nie cieszy się większym zainteresowaniem. Podobnie jak Krugerrand, Orzeł ma domieszki innego metalu. Też o wadze 2,82 g, ale tu ten dodatek jest podzielony na miedź i srebro. Więc ta moneta nie jest czerwonawa, jak Krugerrand, kolor Orła jest bladozłoty.

Prócz tego Orzełka mennica USA ma też przepiękną monetę, subiektywnie mówiąc, Amerykańskiego Bizona. Bardzo rzadko go mamy, bo jak wszystkie monety amerykańskie, jest droższy od innych. Ale ta moneta ma swoisty sznyt, jak z dawnych wieków. Pięknie ukształtowane są wszystkie elementy. Niestety, kosztuje kilkadziesiąt złotych więcej, a przy odsprzedaży nie ma się co spodziewać, że dostaniemy więcej, więc nie za bardzo cieszy się powodzeniem.

Kiedy złoto było tańsze, relatywnie niedawno, za 60 tys. zł można było mieć sześć monet, teraz trzy. I wtedy klienci wybierali jednego Kangurka, jeden Listek, Filharmonika, Krugerranda i Orzełka. Teraz, kiedy złoto jest dużo droższe, to ludzie pytają: „Które najtańsze?” i nikt nie zwraca uwagi na te droższe monety. Choć są bardzo ładne.

Cały czas mówimy o monetach inwestycyjnych, które są jakby sztabkami w kształcie monet.

MA PONAD 5000 RÓŻAŃCÓW I JEST REKORDZISTKĄ ŚWIATA. PREZENT OD PAPIEŻA LEONA XIV OTWORZYŁA POD CHOINKĄ

Mariola Dusza z maleńkiej Gogołowej (powiat wodzisławski, gmina Mszana) ma największą na świecie kolekcję różańców. Jej zbiór 5000 sznurów modlitewnych został oficjalnie wpisany do Księgi Rekordów Guinnessa. Procedury trwały długo, ale niedawno gogołowianka otrzymała oficjalne potwierdzenie wpisania rekordu i pamiątkowy dyplom.

Rekord został pobity 18 lutego 2025 roku, gdy do biura Księgi Guinnessa wpłynęło udokumentowane zgłoszenie z Gogołowej w powiecie wodzisławskim. - Długo to trwało, ale się udało. Bardzo się cieszę i serdecznie dziękuję wszystkim, którzy mi pomogli i tym, którzy podtrzymywali mnie na duchu, gdy chciałam już zrezygnować - mówi uszczęśliwiona kolekcjonerka.

Kolekcjonerka haftuje obrazy

Pani Mariola to człowiek orkiestra. Ma wiele pasji i aktywności. Była pracownica kopalni „Zofiówka” (przez lata wydawała sprzęt strzałowy), dziś już emerytka, jest nie tylko zapałą kolekcjonerką, ale również wyszywa obrazy haftem krzyżowym, uwielbia gotować, słynie z pysznych przetworów i udziela się w Kole Gospodyń Wiejskich.

Różańce zaczęła zbierać ponad 20 lat temu, gdy natrafiła na niecodzienny okaz podczas jednej z pielgrzymek. Potem nie tylko je gromadziła, ale i sama robiła. W 2021 roku ustanowiła rekord Polski w największej kolekcji różańców - miała ich wtedy 1350. Poszła za ciosem i w 2023 roku postanowiła pobić rekord świata. Musiała zebrać o jeden okaz więcej niż wynosił wówczas zbiór pewnego muzeum kolekcjonera, który zebrał 3642 sznury modlitewne.

- Różańce kupowałam, darowali mi znajomi, przesyłali ludzie z innych parafii. Z 1600 sztuk na dzień 1 stycznia 2023 roku, moja kolekcja urosła do 4711 w październiku 2023 - opowiada. Wśród różańców był

Mariola Dusza nie powiedziała ostatniego słowa. Jej kolekcję wzbogacą kolejne sznury modlitewne

Ireneusz Stajer



Mariola Dusza z maleńkiej Gogołowej (powiat wodzisławski) ma największą na świecie kolekcję różańców

i ten przesłany przez papieża Franciszka, do którego gogołowianka napisała list w listopadzie 2022 roku.

Wystawa dla mieszkańców regionu

Najtrudniejsze było właściwe udokumentowanie całej kolekcji, członkowie biura Księgi Rekordów Guinnessa musieli mieć pewność, że każdy okaz jest inny i jest ich dokładnie tyle, ile zgłoszono. Najpierw pani Mariola z koleżankami rozłożyła cały zbiór na specjalnych stojakach w stodole farskiej w Połomi. Później podobna akcja odbyła się w domu parafialnym w Skrzyszowie. Była to też okazja do pokazania wystawy mieszkańców regionu.

Jednak po wysłaniu zgłoszenia okazało się, że organizator żąda dokładniejszej dokumentacji fotograficznej i filmowej każdego egzemplarza. W pomoc pani Marioli zaangażował się Paweł Szotek z Gogołowej, który dokładnie udokumentował. Był już koniec 2024 roku, a kolekcja różańców powiększyła się do 5000 (dziś ma ich już 5350). Materiał dokumentujący był ogromny, przesłanie wszystkich plików zajęło kilka dni. Nikt jednak nie stracił nadziei.

Wspaniale, że się udało

- Wydawało się już, że nie sprostamy wymogom organizatorów, ale widząc zaangażowanie pani Marioli w ten pro-

jekt, znając ogrom pracy i włożone serce, postanowiliśmy doprowadzić sprawę do końca mimo wszystko. Wspaniale, że się udało - mówi Mirosława Książek-Rduch z Urzędu Gminy Mszana, również zaangażowana w pomoc przy próbie bicia tego rekordu.

Wpisanie do Księgi Rekordów Guinnessa nie pociąga za sobą żadnych gratyfikacji finansowych, wręcz przeciwnie, dla gogołowianki były to spore koszty, ale jak mówi, satysfakcja, że ma największą na świecie kolekcję różańców, była tego warta.

- Gdyby chodziło o zwykłe gadzety, dawno dałabym spokój. Ale kolekcjonując różańce mam poczucie, że daję świadectwo swojej wiary - mówi Mariola Dusza i jeszcze raz dziękuje wszystkim, którzy jej pomagali, przynosili różańce i wspierali, szczególnie koleżankom: Urszuli Obracaj i Małgorzacie Kubica.

O swojej kolekcji i próbie bicia rekordu napisała również do obecnego papieża, Leona XIV, prosząc go o przesłanie różańca. Przed świętami Bożego Narodzenia otrzymała z Watykanu korespondencję zwrotną. W kopercie był papieski różaniec, ale pasjonatka nie zobaczyła go przed Wigilią. Prezent leżał pod choinką, otworzyła go w Wigilię. To różaniec z brązowego drewna, z posrebrzonym krzyżykiem. Piękna pamiątka.

Papieski prezent pod choinkę

- Ojciec święty przysłał z różańcem błogosławieństwo dla mnie i całej mojej rodziny. Jeśli mam porównywać, to więcej symboli papieskich zawiera różaniec Franciszka. Cała rodzina była zachwycona, gdy pod choinką otworzyłam papieski prezent - mówi pani Mariola.

Dodajmy, że gogołowianka zebrała 820 modlitw różańcowych. Wszystkie są spisane w języku polskim. Pani Marioli marzy się książka obejmująca cały ten zbiór. To kolejna wielka rzecz do zrealizowania przez mieszkankę maleńkiej Gogołowej.



Różaniec papieża Leona XIV, Mariola Dusza otworzyła dopiero pod choinkę

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 33 tworzą rozwiązanie – aforyzm Krzysztofa Bilicy.

**OBWIESZCZENIE
WOJEWODY ŚLĄSKIEGO
nr IFXIII.7820.32.2023
z dnia 5 stycznia 2026 r.**

Na podstawie art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz.U. z 2025 r., poz. 1691) w związku z art. 11f ust. 3 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 311) podaję do publicznej wiadomości, że po rozpoznaniu wniosku Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad, działającego przez pełnomocnika, Wojewoda Śląski w dniu 19 grudnia 2025 r. wydał decyzję nr 28/2025/ZRID, znak sprawy: IFXIII.7820.32.2023 o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej dla zadania pn. Budowa węzła drogowego na skrzyżowaniu drogi krajowej DK 81 z drogą wojewódzką DW 944 – ul. Bielska w Skoczowie oraz umorzył postępowanie w zakresie działki o numerze ewidencyjnym 660, położonej w Gminie Skoczów, obręb 0001.

I. W decyzji zostały wskazane poniższe nieruchomości, które zostały objęte inwestycją:

Gmina Skoczów, obręb 0005: 53, 375, 384, 382/2, 383, 382/1, 385, 393, 395/2, 394, 395/1, 396, 592, 601, 602, 604, 603, 610, 612, 611, 614/8, 615/3, 620/2, 614/7, 622, 618/2, 618/4, 614/6, 628, 640/2, 614/4, 614/5, 627/8, 627/7, 627/6, 626/4, 626/1, 613, 621/1, 621/2, 668/1, 626/2, 668/2, 668/3, 627/9, 627/5, 627/4, 614/3, 644/3, 651/1, 644/4, 644/5, 640/1, 642/1, 821, 645, 660, 661, 662, 663, 664, 614/2, 627/10, 627/11, 627/12, 671, 670/2, 694/1, 669/2, 669/1, 696/2, 696/1, 697, 626/3, 666/3, 614/1, 639/3.

Gmina Skoczów, obręb 0002: 182/4, 502/8.

Gmina Skoczów, obręb 0001: 1/1, 1/2, 6/1, 6/2, 94, 136, 138, 139/2, 144/3, 142/1, 142/3, 143, 144/4, 144/5, 150, 147, 154, 148, 152/4, 153, 145, 152/5, 152/2, 162, 152/3, 164/2, 151/1, 151/2, 149, 161/2, 572/6, 657, 656, 654/5, 658/1, 658/2, 652, 661/3, 661/2, 664, 661/7, 663, 662, 661/6, 661/5, 661/8, 661/9, 660/1, 660/2, 660/3, 659/1, 659/2, 572/3, 164/1.

- II. Decyzją zostały określone linie rozgraniczające teren inwestycji drogowej.**
III. Decyzji został nadany rygor natychmiastowej wykonalności.
IV. Decyzją został zatwierdzony projekt budowlany.
V. Decyzją zostały zatwierdzone podziały nieruchomości.
VI. Decyzją stwierdzono nabycie z mocy prawa przez Skarb Państwa nieruchomości znajdujących się w liniach rozgraniczających teren inwestycji.
VII. Decyzją stwierdzono nabycie z mocy prawa przez Gminę Skoczów nieruchomości znajdujących się w liniach rozgraniczających teren inwestycji.
VIII. Decyzją ustalono obowiązek budowy i przebudowy zjazdów, budowy oraz przebudowy sieci uzbrojenia terenu, budowy i przebudowy innych dróg publicznych, rozbiórki istniejących obiektów budowlanych nieprzewidzianych do dalszego użytkowania, przebudowy urządzeń wodnych określono ograniczenia w korzystaniu z nieruchomości dla realizacji tych obowiązków oraz zezwolono na wykonanie tych obowiązków.
IX. Decyzją ustalono obowiązek budowy innych dróg publicznych oraz zezwolono na wykonanie tego obowiązku.
X. Decyzją zezwolono na wykonanie przez Inwestora robót budowlanych poza pasem drogowym, towarzyszącym realizacji inwestycji w oparciu o posiadane prawo do dysponowania nieruchomością na cele budowlane.
XI. Decyzją zezwolono na wykonanie przez Inwestora robót budowlanych na terenach wód płynących.

WAŻNE INFORMACJE DODATKOWE

- Treść decyzji opublikowana zostanie w Biuletynie Informacji Publicznej Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach w dniu 5 stycznia 2026 r. w zakładce „Informacja publiczna o wydanych rozstrzygnięciach”.
- Strony postępowania mogą zapoznać się z treścią ww. decyzji i aktami sprawy w Wydziale Infrastruktury Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, ul. Jagiellońska 25, pok. 527, w godzinach od 9⁰⁰ - 14⁰⁰, po uprzednim uzgodnieniu telefonicznym z inspektorem prowadzącym sprawę pod numerem telefonu: 32 20 77 527 lub adresem e-mail: moje@katowice.uw.gov.pl.
- Od niniejszej decyzji służy stronom odwołanie do Ministra Finansów i Gospodarki, za pośrednictwem Wojewody Śląskiego, w terminie:
 - 14 dni od jej doręczenia – wnioskodawcy,
 - 14 dni od dnia publicznego ogłoszenia - pozostałym stronom.
- Publiczne ogłoszenie uważa się za doręczone po upływie 14 dni od jego ukazania się (czyli zamieszczenia obwieszczenia o wydaniu decyzji na tablicy ogłoszeń w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim, Urzędzie Miejskim w Skoczowie, na stronie BIP tych Urzędów oraz w prasie lokalnej).
- Odwołanie stron od decyzji o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej powinno zawierać zarzuty odnoszące się do tej decyzji, określać istotę i zakres żądania będącego przedmiotem odwołania oraz wskazywać dowody uzasadniające to żądanie (art. 11g ust. 1a specustawy drogowej).
- Przed upływem terminu do wniesienia odwołania strony mogą zrzec się prawa do wniesienia odwołania wobec organu administracji publicznej, który wydał decyzję (art. 127a § 1 Kpa). Jeżeli oświadczenie o zrzeczeniu się prawa do wniesienia odwołania wniosą wszystkie strony postępowania, z dniem doręczenia organowi administracji publicznej tego oświadczenia przez ostatnią ze stron postępowania, decyzja staje się ostateczna i prawomocna (art. 127a § 2 Kpa), zatem nie ma możliwości zaskarżenia jej do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego.

**OBWIESZCZENIE
WOJEWODY ŚLĄSKIEGO
nr IFXIII.7820.32.2023
z dnia 5 stycznia 2026 r.**

Na podstawie art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz. U. z 2025 r., poz. 1691) w związku z art. z art. 72 ust. 6, art. 95 ust. 3 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (tekst jednolity: Dz. U. z 2024 r., poz. 1112 z późn. zm.) podaję do publicznej wiadomości, że po rozpoznaniu wniosku Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad, działającego przez pełnomocnika, Wojewoda Śląski w dniu 19 grudnia 2025 r. wydał decyzję nr 28/2025/ZRID, znak sprawy: IFXIII.7820.32.2023 o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej dla zadania pn. Budowa węzła drogowego na skrzyżowaniu drogi krajowej DK 81 z drogą wojewódzką DW 944 – ul. Bielska w Skoczowie oraz umorzył postępowanie w zakresie działki o numerze ewidencyjnym 660, położonej w Gminie Skoczów, obręb 0001.

WAŻNE INFORMACJE

- Treść decyzji opublikowana została w Biuletynie Informacji Publicznej Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach w dniu 5 stycznia 2026 r. w zakładce „Informacja publiczna o środowisku”.
- Z treścią ww. decyzji i aktami sprawy, w tym z decyzją Burmistrza Miasta Skoczowa z dnia 14 lipca 2023 r. o środowiskowych uwarunkowaniach, można zapoznać się w Wydziale Infrastruktury Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach, ul. Jagiellońska 25, pok. 527, w godzinach 9.00-14.00, po uprzednim uzgodnieniu telefonicznym z inspektorem prowadzącym sprawę pod numerem telefonu: (32) 20 77 527 lub adresem e-mail: moje@katowice.uw.gov.pl.



PREZYDENT MIASTA ZABRZE



ogłasza

**V ustny przetarg nieograniczony na sprzedaż prawa własności
nieruchomości zabudowanej, stanowiącej własność Gminy Miejskiej Zabrze
(wyciąg z ogłoszenia)**



Oznaczenie nieruchomości według danych z ewidencji gruntów i księgi wieczystej:

Nieruchomość stanowi własność Gminy Miejskiej Zabrze, obejmuje zabudowaną działkę nr 2071/87 o pow. 335 m², użytek B, arkusz mapy 1, obręb 0005 Makoszowy, położoną w Zabrze przy ul. Józefa Gawrona 6, dla której księgę wieczystą prowadzi Sąd Rejonowy w Zabrze.

Opis nieruchomości:

Działka nr 2071/87 posiada kształt prostokąta, jest ogrodzona i zabudowana budynkiem mieszkalnym o dwóch kondygnacjach nadziemnych, jednej kondygnacji podziemnej wraz ze strychem o powierzchni użytkowej budynku 243,96 m² i powierzchni zabudowy 172 m². Budynek wyposażony jest w instalacje: elektryczną, wodociągową, kanalizacyjną oraz posiada przyłącze gazowe. Całość przeznaczona jest do remontu. Budynek został ujęty w gminnej ewidencji zabytków. Nieruchomość posiada dostęp do drogi publicznej ulicy Gawrona poprzez gminną działkę nr 2072/87, która zostanie obciążona służebnością gruntową polegającą na prawie przechodu i przejazdu na rzecz każdorazowych właścicieli i użytkowników zbywanej działki nr 2071/87. W najbliższym sąsiedztwie znajduje się podobna zabudowa mieszkaniowa wielorodzinna, jednorodzinna, tory kolejowe oraz tereny po byłej kopalni Makoszowy. Korzystanie z wszelkich urządzeń infrastruktury technicznej wymaga uzgodnienia z dysponentami sieci i obciąża całkowicie nabywcę nieruchomości. Przed przystąpieniem do przetargu uczestnik zobowiązany jest zapoznać się ze stanem nieruchomości w terenie. Nabywca przejmuje nieruchomość w stanie istniejącym.

Cena wywoławcza nieruchomości:

Cena wywoławcza nieruchomości została ustalona na kwotę **235.000,00 zł**.

Sprzedaż ww. nieruchomości objęta jest zwolnieniem od podatku VAT na podstawie art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług.

Opłata jednorazowa za ustanowienie służebności gruntowej wynosi **3.113,00 zł**. Do jednorazowej opłaty za ustanowienie służebności gruntowej zostanie doliczony podatek VAT według stawki obowiązującej na dzień wpłaty.

Wylicytowaną cenę sprzedaży nieruchomości i opłatę za ustanowienie służebności gruntowej wraz z podatkiem VAT należy uiścić w całości, przed zawarciem umowy notarialnej.

Termin i miejsce przetargu:

Przetarg odbędzie się **26 lutego 2026 r. o godzinie 10.00** w sali 207 Urzędu Miejskiego w Zabrze przy ul. Powstańców Śląskich 5-7.

Pierwszy przetarg odbył się 4 marca 2025 r. Drugi przetarg odbył się 10 czerwca 2025 r. Trzeci przetarg odbył się 31 lipca 2025 r. Czwarty przetarg odbył się 25 listopada 2025 r.

Ogłędziny nieruchomości odbędą się 12 lutego 2026 r. w godzinach 11.00-12.00. Kontakt z administracją POM 1 w Zabrze przy ul. 3 Maja 84, tel. 32 373 47 10.

Wadium:

Wadium w wysokości **47.000,00 zł** należy wnieść w pieniądzu, dokonując przelewu na konto depozytowe Miasta Zabrze w Banku Polska Kasa Opieki S.A. (Pekao) nr 98 1240 1037 1111 0011 6230 4814 **do dnia 19 lutego 2026 r.** Za termin wniesienia wadium uważa się dzień jego wpływu na wskazane wyżej konto.

UWAGA! W tytule przelewu należy wpisać oznaczenie nieruchomości, której dotyczy wadium, oraz imię i nazwisko (lub nazwę w przypadku spółek) uczestnika/uczestników przetargu. W przetargu może brać udział wyłącznie osoba wskazana w opisie przelewu lub jej pełnomocnik ze stosownym pełnomocnictwem lub osoba reprezentująca spółkę.

Nieruchomość sprzedawana jest na podstawie danych wynikających z ewidencji gruntów. Ewentualne wzniesienie i okazanie granic nabywca zleci na własny koszt.

Zbywający nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wady ukryte nieruchomości, w tym także za nieujawniony w Miejskim Ośrodku Dokumentacji Geodezyjnej i Kartograficznej przebieg podziemnych mediów, ani żadne inne wady, które nie są znane sprzedającemu w dniu zbycia nieruchomości.

Ogłoszenie o przetargu wywieszono na tablicy ogłoszeń Wydziału Obrót Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Zabrze na IV piętrze w budynku przy ul. Powstańców Śląskich 5-7 oraz opublikowano na stronie internetowej Urzędu Miejskiego w Zabrze www.miaستozabrze.pl w zakładce „Miasto” – „Urząd Miejski” – „Obwieszczenia i informacje” i w Biuletynie Informacji Publicznej na stronie <https://bip.miaستozabrze.pl> w zakładce „Nieruchomości” – „Przetargi na nieruchomości” – „Sprzedaż” – „Inne”.

Szczegółowych informacji na temat przedmiotowej nieruchomości oraz przetargu udziela się w pok. 409 Urzędu Miejskiego w Zabrze przy ul. Powstańców Śląskich 5-7, tel. 32 37 33 454.



Prezydent Miasta Siemianowice Śląskie

działając na podstawie art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. 2024 poz. 1145 z późn. zm.)

informuje,

że w dniu 9.01.2026 r., na tablicach ogłoszeń Urzędu Miasta w Siemianowicach Śląskie w gmachu przy ul. Jana Pawła II 10, w budynku przy ul. Michałkowickiej 105 oraz na stronie internetowej www.siemianowice.pl, umieszczono wykaz nieruchomości gruntowej niezabudowanej, stanowiącej własność Gminy Siemianowice Śląskie, położonej w rejonie ul. Bańgowskiej, oznaczonej jako działka nr 11-2121/382 o pow. 2 097 m², przeznaczonej do zbycia w drodze przetargu ustnego nieograniczonego.



Biurow Rzeczy Znajdionych

podaje do wiadomości publicznej,

że na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Sosnowcu przy al. Zwycięstwa 20 oraz na stronie Biuletynu Informacji Publicznej w zakładce Biuro Rzeczy Znajdionych pn.: „Wezwanie osób uprawnionych do odbioru depozytów” została wywieszona informacja dla nieznanej z adresu zamieszkania osoby o przyjęciu na przechowanie do depozytu Biura Rzeczy Znajdionych pliku banknotów znalezionych na terenie CH Plaza w Sosnowcu.

Depozyt może zostać wydany na podstawie złożonego Oświadczenia o zagubieniu rzeczy przez osobę uprawnioną do jego odbioru w tut. Biurze Rzeczy Znajdzonych, w godzinach pracy Urzędu Miejskiego w Sosnowcu, tj. poniedziałek w godzinach od 7.30 do 18.00, wtorek – czwartek w godzinach od 7.30 do 15.30, piątek w godzinach od 7.30 do 13.00.

REKLAMA

0011457188



OGŁOSZENIE
Prezydent Miasta Sosnowca
informuje,

iż na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Sosnowcu Al. Zwycięstwa 20 oraz na stronie internetowej tut. Urzędu został zamieszczony na okres 21 dni, tj. od **9.01.2026 r. do 30.01.2026 r.** wykaz nieruchomości przeznaczonej do zbycia w trybie bezprzetargowym na podstawie art. 37 ust. 2 pkt 6 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tekst jednolity Dz.U. z 2024 r. poz. 1145 ze zm.) dot. nieruchomości położonej w Sosnowcu przy ul. Jana Sobieskiego.

REKLAMA

0011458937



Prezydent Miasta
Siemianowice Śląskie

Działając na podstawie art. 35 ust. 1 ustawy o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2024 r., poz. 1145 z późn. zm.) informuję, że na tablicy ogłoszeń Urzędu Miasta przy ul. Jana Pawła II 10 i ul. Michałkowickiej 105 oraz na stronie internetowej www.siemianowice.pl zostały umieszczone wykazy nieruchomości przeznaczonych do dzierżawy lub najmu w trybie bezprzetargowym.

REKLAMA

0011459025



WYCIĄG Z OGŁOSZENIA
WÓJT GMINY ŁYSKI
ogłasza

II przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości zabudowanej położonej w jednostce ewidencyjnej Łyski, obręb Zwonowice stanowiącej własność Gminy Łyski.

Działka przeznaczona do sprzedaży w przetargu:

Nr działki	Powierzchnia (m²)	Nr księgi wieczystej	Cena wywoławcza (netto)	Wysokość wadium
569/65	427	GL1Y/00064365/4	120.000,00 zł	12.000,00 zł

Termin i miejsce przetargu
Przetarg odbędzie się w dniu **12 lutego 2026 r. o godz. 9.00** w siedzibie Urzędu Gminy Łyski (ul. Dworcowa 30, Sumina) – parter – sala obok Biura Obsługi Klienta.

Ogłoszenie o przetargu oraz warunki wpłacenia wadium znajdują się: na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Gminy Łyski przy ul. Dworcowej 30 w Suminie, na stronie internetowej www.lyski.pl oraz w Biuletynie Informacji Publicznej www.bip.lyski.pl

Szczegółowe informacje dotyczące nieruchomości przeznaczonej do sprzedaży można uzyskać: Urząd Gminy Łyski – Referat Ochrony Środowiska, ul. Rybnicka 2a, Łyski oraz pod nr telefonu 32 4300051 w. 137 w godzinach pracy Urzędu.

Wójt Gminy Łyski
/-/ Sylwia Gabryelska-Ritzka

REKLAMA

0011458665



Burmistrz Pszczyny
informuje,

że w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Pszczynie o adresie: bip.pszczyna.pl, zamieszczone zostały wykazy nieruchomości przeznaczonych do:

1) wdzierżawienia, położonych w:

- Wiśle Wielkiej (zarządzenie nr SG.0050.861.2025),
- Pszczynie przy Placu Targowym (zarządzenie nr SG.0050.871.2025),
- Wiśle Wielkiej (zarządzenie nr SG.0050.874.2025),
- Porębie przy ul. Nad Zaporą (zarządzenie nr SG.0050.898.2025),
- Wiśle Wielkiej (zarządzenie nr SG.0050.899.2025),
- Pszczynie przy ul. Karola Miarki (zarządzenie nr SG.0050.911.2025),

2) użyczenia, położonej w:

- Pszczynie (zarządzenie nr SG.0050.867.2025),

3) sprzedaży, położonych:

- Pszczynie przy ul. Stefana Batorego 24 (zarządzenie nr SG.0050.870.2025),
- Pszczynie przy Placu Targowym (zarządzenie nr SG.0050.873.2025)
- Pszczynie przy ul. Karola Szymanowskiego 20/1 (zarządzenie nr SG.0050.912.2025)."

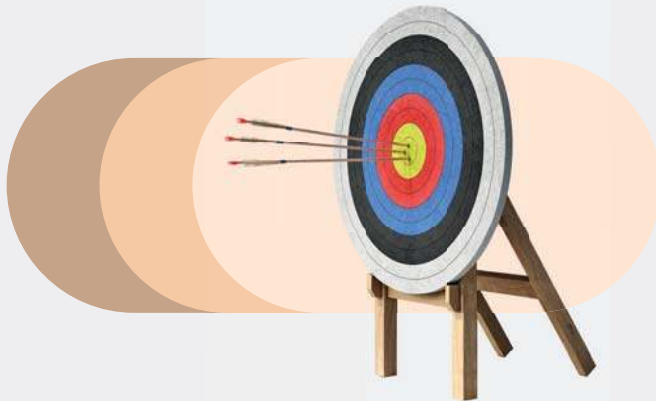
AUTOREKLAMA

Polecamy →

strefa
BIZNESU.pl

Know-how
w dobrym biznesie

strefabiznesu.pl



Rafał Musioł
Męski Punkt Widzenia



NOWY ROK, NOWA CENA AKCJI GÓRNIKA?

W grudniu minęły dwa lata od momentu, gdy Małgorzata Mańka-Szulik, ówczesna prezydent Zabrza, zaprosiła potencjalnych inwestorów do udziału w procesie prywatyzacji Górnika. Od tego czasu trwa chocholi taniec, prowadzony już przez czwartego wodzireja, w którym nieodmiennie obowiązuje zasada dwóch kroków wstecz na każdy wykonany w przód. No i w parze z władzami miasta idzie już tylko Łukas Podolski (zwany Podmiotem), podczas gdy początkowo było tych partnerów trzech.

Nie zmienia się jedno: kwestia prywatyzacji to dla Górnika być albo nie być. Patrząc na ekstraklasowe trendy klub z Roosevelta za chwilę zamieni się w ekonomiczny skansen. Zwłaszcza, że sytuacja finansowa miasta jest katastrofalna, co oznacza, że właściwie funkcja ogranicza się do nadzoru, pomijając całą sferę inwestycyjną. Ba, władze miasta licząc na kreatywną politykę władz Górnika (czytaj ratowanie budżetu transferami) zdecydowanie więcej uwagi muszą poświęcić Spółce Stadion, która od lat nie spina końca z końcem i traktuje ubogi klub jako główne źródło wpływów. W praktyce oznacza to jedynie liczby rosnące po stronie niezrealizowanych gotówkowo rozliczeń. Efekt jest opłakany - w kasie Areny nie ma pieniędzy chociażby na niezbędną wymianę murawy, która w skali całej ligi stanowi już zbytek klasy zerowej, i które stan będzie się już tylko w szybkim tempie pogarszał. Sprawa rozliczeń ze stadionem oraz inwestycji w infrastrukturę Areny i Akademii, także znajduje się w agendzie

rozmów prowadzonych przez miasto z Lukaszem Podolskim (formalnie firmą LP Holding GmbH).

Podczas wtorkowego turnieju w Spodku temat sprzedaży klubu pojawiał się w kuluarach dość często. Dlaczego o tym wspominać? Bo właśnie w katowickiej hali można było usłyszeć o nowym scenariuszu, do tej pory chyba nie upublicznianym, a mającym związek z niedawnym zakupem przez Łukasza Podolskiego akcji klubu z rąk Allianz. Transakcji z pozoru symbolicznej i stanowiącej korzyść przede wszystkim dla ubezpieczyciela pozbywającego się bezwartościowych dla niego papierów, które nie dawały nabywcy realnego wpływu na politykę klubu. O co więc mogło tak naprawdę chodzić? Otóż być może o doprowadzenie do ponownej wyceny akcji. Obecna wartość jest utajniona przez Urząd Miasta, ale jeśli prawdą jest, że LP zapłacił Allianzowi znacznie niższą cenę, to może stanowić to precedens, by domagać się weryfikacji stawki miejskiej. No bo jeśli jedna firma sprzedaje taniej i nadal się jej to pewnie opłaca, to dlaczego druga wciąż żąda wyższej kwoty? No i dokonana transakcja musiałaby być brana pod uwagę przez firmę dokonującą ponownej wyceny.

Czy jest to opcja realna? Wszyscy zainteresowani mają świadomość, że czas nieubłagany ucieka. Wyłączność negocjacyjną firma Podolskiego ma tylko do końca lutego. Potem cały proces może zostać anulowany, co dla przyszłości Górnika z jednej i obciążenia miasta z drugiej strony może mieć opłakane skutki. ©©

PIŁKA NOŻNA W CZĘSTOCHOWSKIM KLUBIE DOSZŁO DO KLUCZOWYCH ZMIAN

Tak powinien wyglądać Raków w nowym wydaniu

Bartłomiej Romanek
b.romanek@dz.com.pl

Bez przepalania pieniędzy i z wizją stawiania również na młodych piłkarzy, ale bez jasno wyznaczonych celów sportowych. Piłkarze po przerwie zimowej wrócili do innego klubu.

18 grudnia 2025 roku zakończyła się jedna z najgłośniejszych telenowel w polskiej piłce nożnej. Marek Papszun został ogłoszony trenerem Legii Warszawa, a krótko po tym przedstawiono Łukasza Tomczyka jako nowego szkoleniowca Rakowa Częstochowa.

Obu trenerów wiele dzieli - Papszun ma już wyrobioną markę i sukcesy, Tomczyk ma na razie tylko opinię utalentowanego, młodego trenera. Ale są dwie rzeczy, które ich łączą - zaczęli właśnie pracę w klubach, które od dawna noszą w swoich sercach (Michał Świerczewski powiedziałby, że wrócili do swoich szkolnych miłości) i obaj preferują grę systemem 1-3-5-2 (1-3-4-3).

Na pierwszy rzut oka model działania Rakowa się nie zmienia - zmienił się tylko trener i jego sztab. Wsłuchując się jednak w głos właściciela klubu Michała Świerczewskiego, wiadać, że chce on nieco zmodyfikować własny pomysł na prowadzenie klubu.

Prezes firmy x-kom podczas konferencji prasowej przedstawiającej trenera Tomczyka wspominał m.in. o przepalaniu pieniędzy na transfery w polskiej piłce, dodawał, że sukcesy można było odnieść mniejszym kosztem, a za przykład podawał Jagiellonię Białostok,



Łukasz Tomczyk przejął zespół Rakowa po Marku Papszunie

która przebiła się do czołówki PKO Ekstraklasy dzięki młodemu trenerowi, skutecznemu skautingowi, ale i stawianiu na młodych piłkarzy.

I właśnie tak ma wyglądać nowy Raków Częstochowa. Młody trener na ławce, więcej utalentowanych nastolatków na boisku i szukanie perspektywicznych piłkarzy na rynku transferowym, ale za sensowne pieniądze. Raków w ostatnich latach, zwłaszcza po powrocie do Częstochowy Marka Papszuna, nie skąpił pieniędzy na transfery. Za Leonardo Rochę, Michała Ameyawę, Ariela Mosóra czy Tomasza Pieńko zapłacono sporo. Przydatność dwójki z tych czterech piłkarzy dla Rakowa jest na razie niewielka.

Trener Łukasz Tomczyk też zapowiada, że przed transferami chciałby się przyjrzeć obecnej kadrze i poszukać w niej piłkarzy, którzy spełnią jego oczekiwania. Stąd skrócone wypożyczenia Sahinowi-

cia, Hermana, Burkiewicza, Rajczykowskiego czy Leonardo Rochy. A przecież piłkarzami Rakowa, którzy są kontuzjowani lub wypożyczeni, są jeszcze m.in. Kochergin, Arsenić, Otieno czy Plavsić. Spojrzenie na szeroką i drogą kadrę świeżym okiem nowego trenera, zapewne doprowadzi do przewietrzenia szatni, ale jest ono niezbędne nie tylko ze względu na finanse klubu, ale i sam wynik sportowy.

Nie zmieni się za to system gry Rakowa (1-3-5-2 lub 1-3-4-3 w zależności od meczu), bo trener Łukasz Tomczyk preferuje grę trójką obrońców, podobnie jak robili to wcześniej Marek Papszun i Dawid Szwarga. Zatrudnienie w roli asystenta Dawida Szulczka jest zgodne z DNA Rakowa i grą z trójką z tyłu. Bo w takim zestawieniu grał m.in. Warta, kiedy prowadził ją Szulczek. Był on już nawet przymierzany do Rakowa dwa lata temu w roli następcy Papszuna, kiedy ten po raz

pierwszy zegnał się z Częstochową.

System się nie zmienia, ale ma się zmienić styl gry. Raków ma być bardziej efektywny, a nie tak pragmatyczny jak za czasów Papszuna. Chociaż trener Legii Warszawa osiągnął z Rakowem wielkie sukcesy, to w żadnym z sezonów w PKO Ekstraklasie jego drużyna nie osiągnęła średniej dwóch bramek strzelonych w meczu. Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę jak dużym potencjałem ofensywnym w ostatnich latach dysponował Raków.

W klubie ostrożnie wypowiadają się o celach sportowych na najbliższe miesiące, zdając sobie sprawę, że trener Tomczyk debiutuje w PKO Ekstraklasie, a to może sprzyjać pracy nad poprawą stylu gry.

Przepalanie pieniędzy na transfery, wprowadzanie młodych graczy, lepszy styl gry, wzorowa Jagiellonia - wszystkie hasła są kamyczkami wrzucanymi do ogródka byłego już trenera Rakowa Marka Papszuna. Widać, że jego wizja i wizja Michała Świerczewskiego z czasem coraz mocniej zaczęły się rozmiękać i prawdopodobnie klub i tak pożegnałby się z Papszunem po zakończeniu obecnego sezonu.

Symptomatyczny jest ostatni komunikat o rezygnacji Pawła Obidzińskiego z funkcji prezesa z powodów osobistych i powołaniu na to stanowisko Wojciecha Cygana, którego w Rakowie łączyła z Papszunem „szorstka przyjaźń”. W 2026 roku Raków wkracza jako klub odmieniony, ale nie tylko z powodu zatrudnienia nowego trenera.

©©

Sow może zostać trzecim najdrożej sprzedanym piłkarzem z Zabrza

Rafał Musioł
r.musiol@dz.com.pl

PIŁKA NOŻNA. Senegalski piłkarz Górnika Zabrze znajduje się już w Danii, gdzie przechodzi testy medyczne w IF Broendby.

Od kilku lat w okienkach transferowych w Zabrzu pytanie brzmi nie „czy”, ale „kto” - odejście z Górnika osłabiając zespół. Nie inaczej jest obecnie, chociaż trener Michał Gasparik chciałby, aby w szatni zostali wszyscy klubowi piłkarze.

W czwartek na testy do IF Broendby poleciał Ousmane Sow. Duńczycy mieli zaoferować za piłkarza około 3 milionów euro. To oznaczałoby znakomite przebicie - Zabrzańskie przed rokiem zapłacili Lierse 250 (lub 300, w zależności od źródła) tysięcy euro. Od tego momentu Sow rozegrał 29 ligowych meczów, w których strzelił osiem goli. Na liście jego ofiar są bramkarze Lecha Poznań, Pogoni Szczecin, Rakowa Częstochowa, Widzewa Łódź, Legii Warszawa (dwa trafienia, najlepszy mecz tego piłkarza)



Ousmane Sow ma zostać sprzedany za około 3 mln euro

i Arki Gdynia, oraz w Pucharze Polski Lechii Gdańsk. 25-latek zaliczył też dwie asysty.

- Nie chciałbym go stracić, ale rozumiem, że pieniądze dla klubu też są bardzo ważne. Na razie Ousmane trenuje normalnie z nami, zobaczymy co się dalej wydarzy. Decyzje nie zapadły - podkreślał w środę Gasparik, a na portalu X Farzam Abolhosseini z tipsbladet.dk pisał, że rozbieżności przekraczają 1,5 mln euro. Jego zdaniem Broendby oferuje 2,2 mln, a Górnik oczekuje 4 mln. Pod wpisem rozgorzała dyskusja fa-

nów duńskiego klubu, w których kwota sugerowana przez polski klub uznawana jest za zdecydowanie za wysoką za takiego zawodnika.

W czwartek Sow poleciał jednak już na testy do Danii. Oznacza to, że Broendby przystało na cenę odpowiadającą Górnikowi. Jeśli transakcja dojdzie do skutku Senegalczyk stanie się trzecim najdroższym piłkarzem sprzedanym przez klub z Roosevelta. Cenniejsi byli jedynie Szymon Żurkowski (4,5 mln euro) i Dominik Sarapata (4 mln). ©©

PIŁKA NOŻNA WIOSNĄ MECZE NA STADIONIE W BYTOMIU BĘDZIE MOGŁO OGLĄDAĆ DWA RAZY WIĘCEJ KIBICÓW

Gracze Polonii na Piłkarskiej czują się teraz jak w domu

Jacek Sroka
j.sroka@dz.com.pl

Rozmowa ze Sławomirem Kamińskim, prezesem spółki BS Polonia Bytom.

Stoimy na pachnącym nowością I piętrze budynku klubowego Polonii Bytom. Co widać stąd przez wychodzące na boisko okna?

Widać potężny krok do przodu jaki zrobił nasz klub. Widać nową trybunę, która z końcem grudnia otrzymała pozwolenie na użytkowanie. W środku widać natomiast dwie nowe kondygnacje budynku przy ul. Piłkarskiej 8 oddane właśnie do użytkowania. Na I piętrze znajduje się w pełni profesjonalne zaplecze do pracy dla zawodników pierwszej drużyny, urządzone skromnie, ale ze wszystkimi funkcjami, które są piłkarzom potrzebne. Na II piętrze znajduje się sala konferencyjna, duży taras i kilka pomieszczeń spółki Bytomski Sport Polonia Bytom zarządzającej nie tylko sekcją piłkarską, ale także hokejową i koszykarską.

Ilu kibiców będzie mogło obejrzeć 7 lutego pierwszy wiosenny mecz Polonii z ŁKS Łódź?

W sumie będzie mogło zobaczyć ten mecz ponad 2300 kibiców. Ta nowa trybuna, mimo że trochę wyższa, ma podobną pojemność jak pierwsza, czyli około 1200 miejsc. Mam nadzieję, że w rundzie wiosennej dalej będziemy cieszyć się na meczach Polonii kompletnie na widowni, a obiekt można jeszcze rozbudować. W razie zbudowania kolejnej trybuny w miejscu sektora gości znajdującego się za bramką, a jest tam na to miejsce, pojemność stadionu mogłaby wzrosnąć do ponad 4 tysięcy miejsc.

O ile zatem zwiększą się wpływy Polonii z dnia meczowego?

Dochody z dnia meczowego na pewno wzrosną. Przy komplecie widzów zarobimy dwa razy więcej na sprzedaży biletów, ale też koszty, chociażby ochrony, będą większe. Zaznaczę, że cały czas mówimy o wpływach z dnia meczowego, a nie o zyskach.

Ten obiekt jest bardzo funkcjonalny począwszy od szatni piłkarzy, poprzez strefę regeneracji z wannami, wirówkami



Nowa trybuna na stadionie w Bytomiu jest nieco wyższa niż ta znajdująca się po przeciwnej stronie boiska. Ma miejsca VIP i rząd dla dziennikarzy z pulpitymi



Zaduszona druga trybuna pomieści około 1200 fanów



Szatnia drużyny Polonii jest wyposażona we wszystkie rzeczy potrzebne piłkarzom do pracy i regeneracji

isauną, postrefę relaksu, w której zawodnicy mogą napić się po zajęciach kawy czy herbaty.

Nie chcieliśmy budować sobie pomników ani pałaców, ale miejsce do pracy. Już na etapie projektowania prowadziliśmy liczne konsultacje z jego przyszłymi użytkownikami i przeanalizowaliśmy bardzo wiele podobnych obiektów sportowych, by wychwycić błędy jakie zostały tam popełnione i ich nie powielać. Polonia jeszcze kilka lat temu nie miała domu i to nie jest żadna przenośnia, bo faktycznie nie mieliśmy jako klub dachu nad głową. Zaczęliśmy tę budowę od fundamentów, czyli infrastruktury dla grup młodzieżowych i naszej Akademii, w której ćwiczy już ponad 500 zawodników, ale nie

zapominaliśmy o pierwszym zespole. Czasami budziło to krytykę czy niezbyt przychylne komentarze, ale myślę, że po tych kilku latach widać, że efekt został osiągnięty, bo mamy gdzie trenować i każdy ma tu swoje miejsce począwszy od najmłodszych grup Akademii po pierwszy zespół. Na miejscu jest siłownia, jest odnowa biologiczna i śmiało mogę powiedzieć, że czujemy się tu jak w domu.

Piłkarze mają nawet specjalną suszarnię na buty...

To jeden z wniosków, które wyciągnęliśmy oglądając inne obiekty. Wydzieliliśmy obok szatni niewielkie pomieszczenie ze zwiększoną wentylacją, w którym buty piłkarskie



I piętro budynku dedykowane jest pierwszej drużynie Polonii. Nad drzwiami są trofea zdobyte przez bytomian

można nie tylko wysuszyć, ale i umyć. Dodatkowo chcemy tam jeszcze zamontować oświetlenie UV, żeby zabijać ewentualne bakterie. To takie niewielkie rzeczy, które w codziennym użytkowaniu okazują się dla piłkarzy sporym udogodnieniem.

W nowej części budynku mocno wyeksponowana jest bogata historia Polonii, o czym przypominają nie tylko daty zdobycia dwóch tytułów mistrza Polski, ale też grafiki Pucharu Rappana i Pucharu Ameryki wywalczone przez bytomskich piłkarzy.

Te 106 lat historii klubu, który 4 stycznia obchodził swoje kolejne urodziny, to jest coś, co buduje naszą tożsamość. Jeste-

śmy dumni z naszej tożsamości i pamiętamy o naszej historii, ale nie możemy tylko nią żyć. Musimy mieć pomysł na tu i teraz i plan na kolejne 5-10 lat. My doskonale wiemy jak chcemy, żeby Polonia Bytom wyglądała w przyszłości i konsekwentnie to budujemy dzięki wielkiej przychylności władz miasta, kibiców i wszystkich osób, które, niezależnie od tego co się działo, za tym klubem stali. Do historii klubu odnosimy się z pełnym szacunkiem, choć jak to w sporcie miała ona swoje blaski i cienie, i jesteśmy gotowi pokazać ją w nowopowstającym Muzeum Polonii.

Wróćmy do teraźniejszości. Polonia jest po rundzie jesiennej wiceliderem Betclia 1. Ligi.

Myślicie chociaż po cichu o awansie do PKO Ekstraklasy?

To wszystko co tu widać robimy po to, żeby wygrywać. Patrząc dziś na wyniki drużyny naturalnym jest, że mówimy o ekstraklasie, ale 5-7 lat temu myśmy nawet nie marzyli o tym, by znaleźć się na centralnym szczeblu rozgrywek. Planując to miejsce chcieliśmy wybudować ośrodek dla Akademii, w którym znajdzie się miejsce dla pierwszej drużyny. Podchodzimy do tematu ekstraklasy bardzo spokojnie. Z naszej strony nikt nie usłyszy hasła „Ekstraklasa albo śmierć”, bo my wiemy, że to jest proces. Dostać się do ekstraklasy to jest jedno, ale potem się w niej utrzymać to jest kompletnie coś innego. Mówimy więc o tym wszystkim bardzo ostrożnie, żeby nadmiernie nie rozbudzać tych apetytów, które i tak się już jednak pojawiły, bo po to się robi sport, żeby sięgać jak najdalej i jak najwyżej, natomiast pytanie czy jak najszybciej. W Bytomiu jest miejsce na ekstraklasę - stało się już tak w przypadku hokeja, ale musi być do tego gotowych dużo więcej rzeczy: infrastruktura, finanse, zarządzanie, a więc wszystko, to co jest dużo bardziej nudne niż sam sport, ale niezbędne.

Agdyby za pięć miesięcy okazało się, że piłkarze trenera Patryka Czubaka jednak wywalczyli przepustkę do grona najlepszych to Polonia jest w stanie spełnić wymogi licencyjne PKO Ekstraklasy chociażby w kwestii stadionu?

Na pewno nikt nie będzie zawodnikom zakazywał wygrywać meczów. My budując ten obiekt planowaliśmy go na II ligę z możliwością rozbudowy do wymogów I ligi. Jest on jednak tak pomyślany, że moglibyśmy spełnić tutaj także wymogi ekstraklasowe, ale wymaga to nakładów finansowych i przeprowadzenia dodatkowych robót, oraz czasu. Do spełnienia warunków licencyjnych na ekstraklasę brakuje nam 1,5-2 tysięcy krzesełek i podgrzewanej płyty boiska, choć ta przy syntetycznej murawie nie do końca się sprawdza. Strategiczne decyzje w kwestii dalszej rozbudowy stadionowej infrastruktury podejmować będzie klub wspólnie z władzami miasta Bytomia. ©

ZTEKI GWIDONA MIKLAŠZEWSKIEGO NA DOBRY HUMOR



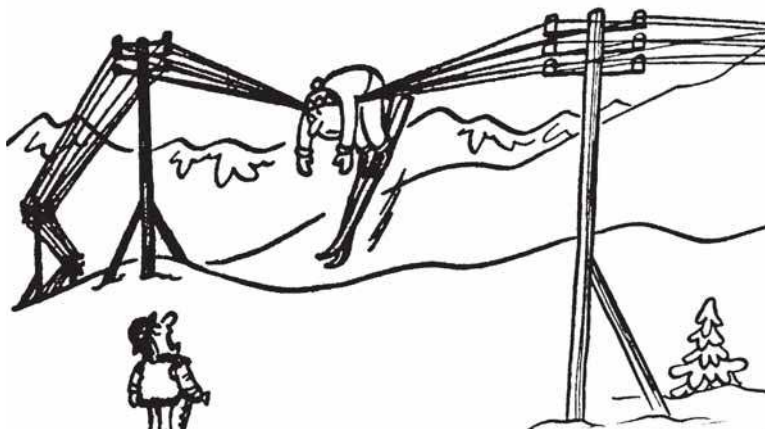
Nie ma pan takich z tektury? Ja je potrzebuję tylko do noszenia po Krupówkach...



Jedź ostrożnie, Lileczko, twój ekwipunek sportowy kosztował masę pieniędzy!



Ludzie! Ścinajcie prędzej to drzewo!!



A jak już tam, panocku, siedzicie, to se zatelefonujcie do Zakopanego po pomoc!



Uwaga! Lawina rusza!!



Możesz już zdjąć narty - schodzimy na obiad!



Obserwuję ją tu od dwóch tygodni i jeszcze nie widziałem jej twarzy!

HOROSKOP

**Wodnik (20.01 - 18.02)**

Energia sprzyja działaniu, ale zachowaj umiar. Horoskop dzienny zapowiada, że krótka rozmowa przyniesie inspirację oraz spokój.

**Ryby (19.02 - 20.03)**

Skup się na porządkach. Horoskop na dziś mówi, że mały sukces doda Ci pewności, a wieczór sprzyja relaksowi.

**Baran (21.03 - 19.04)**

Dzień sprzyja aktywności. Horoskop dzienny na piątek mówi, że odważna decyzja przyniesie postęp, ale pamiętaj też o odpoczynku.

**Byk (20.04 - 20.05)**

Spokój i konsekwencja pomogą dziś rozwiązać drobną sprawę. Horoskop dzienny radzi zaufać intuicji.

**Bliznięta (21.05 - 21.06)**

Rozmowa otworzy nowe możliwości, ale horoskop na dziś sugeruje, by nie obiecywać zbyt wiele nikomu.

**Rak (22.06 - 22.07)**

Emocje będą silne, lecz horoskop dzienny na piątek zapowiada, że szczerość wobec bliskich przyniesie ulgę i poczucie bezpieczeństwa.

**Lew (23.07 - 22.08)**

Twoja pewność siebie będzie przyciągać uwagę. Horoskop dzienny radzi wykorzystać dzień na twórcze działania i planowanie.

**Panna (23.08 - 22.09)**

Porządek w myślach pomoże uniknąć nieporozumień. Horoskop na dziś zapowiada, że drobny gest poprawi relacje z innymi osobami.

**Waga (23.09 - 22.10)**

Harmonia jest w zasięgu ręki. Horoskop dzienny na piątek to wskazówka, by wygospodarować czas na rozmowę i zadbać o własne potrzeby.

**Skorpion (23.10 - 21.11)**

Intensywny dzień sprzyja przełomom. Horoskop dzienny radzi zachować dyskrecję i działać spokojnie.

**Strzelec (22.11 - 21.12)**

Obowiązki wymagają skupienia, lecz wysiłek zostanie doceniony. Horoskop na dziś zapowiada, że wieczór będzie sprzyjał regeneracji.

**Koziorożec (22.12 - 19.01)**

Nieszablonowe pomysły spotkają się z zainteresowaniem. Horoskop dzienny na piątek wróży, że współpraca przyniesie korzyści.



DZIENNIK
ZACHODNI.PL

Jeszcze więcej lokalnych wiadomości
Tutaj wszystko